

365 • LISTOPAD 2020

INFORMATOR

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI



ISSN 1505-8476



9 771505 847001

PORZĄDKI NA KONIEC DEKADY

Tak, Drodzy Czytelnicy, ten numer „Informatora GKF” jest ostatnim numerem ukazującym się w drugiej dekadzie XXI wieku; dopiero bowiem po Sylwestrze i Nowym Roku wejdziany w dekadę trzecią. I wtedy uzasadnienie mieć będzie doprecyzowanie – gdy ktoś zachce przywołać epokę radia, jazzu, chłopczy, słomkowych kapeluszy i ostatków niemego kina – „lata 20. XX wieku”.

Przypomina mi się tu dyskusja (w moich wspomnieniach tak niedawna!), czy pierwszym rokiem XXI wieku będzie rok 2000, czy raczej 2001. Kwestię tę zobrazowałem wtedy prostym przykładem: jeśli banknot 200-złotowy rozmiennimy na złotówki – to dwusetna moneta ciągle należeć będzie do tego zbioru (nowy zbiór otworzyłaby dopiero złotówka kolejna!). Podobnie teraz. 2001–2010 to dekada „lat dwutysięcznych”, lata 2011–2020 to dekada „lat kilkunastych”, lata 2021–2030 to dekada „lat dwudziestych” – itd. Zwracam też przy okazji uwagę, że należy unikać błędu hiperpoprawności polegającego na mówieniu np. „w roku dwutysięcznym dwudziestym”, gdyż (poza rokiem „tysięcznym” czy „dwutysięcznym”) odmieniamy tylko dwie ostatnie liczby (rząd dziesiątek i jednostek) – bo nie mówimy np., że komunizm skończył się w Polsce czwartego czerwca roku „tysięcznego dziewięćsetnego osiemdziesiątego dziewiątego”.

„Informator” #366 będzie wprawdzie numerem grudniowo-styczniowym; jednak zostanie on zredukowany oraz zamieszczony na klubowej stronie i wysłany do druku pod koniec stycznia 2021 r. Postanowiliśmy bowiem zachować zasadę wydawania dziesięciu numerów w danym roku (nie licząc ewentualnych numerów specjalnych), z dwoma podwójnymi numerami (wakacyjnym oraz tym z przełomu dat). Wprawdzie tegoroczny Nordcon został odwołany/przesunięty (jak kto woli to zinterpretować), zaś w te święta raczej nie będziemy wojażować po rodzinie i kurortach (aczkolwiek rządowe decyzje, przypominające swą przypadkowością ruletkę czy inne koło fortuny, bywają nieodgadnione i niepewne często do samego końca) – jednak redaktorom i korespondentom giekaefowskiego periodyku należą się również zimowe ferie.

A propos redaktorów i korespondentów... Niezmiennie dziękuję wszystkim Tym, którzy mozolnie i systematycznie prowadzą swoje stałe rubryki oraz Tym, którzy dzielą się z nami również sporadycznymi relacjami, recenzjami, grafikami! Zachęcam też wszystkich Pozostałych do nadsyłania, nawet najbardziej okazjonalnego, materiałów od siebie (ewentualną korektę zawsze zapewniamy – acz nie ręczymy za przyuczajone, zdradliwe chochliki). Siegając w głąb tego numeru – zauważacie pewnie (zapropinowaną przez szefa Działu Wydawniczego) – nową rubrykę: utwory literackie. Mamy sporo podobnego materiału (który nie zawsze pasuje do tematycznych „Czerwonych Karłów”), nasz comiesięczny periodyk już od wielu lat ma charakter fanzinu (a nie tylko informatora sensu stricto) – więc spodziewajcie się więcej (choć może nie w każdym numerze) podobnych nowelek. Bardzo też, jako redakcja, prosimy (zwl. Zarząd!) o niezawodne przysyłanie nam notek o wszystkich wydarzeniach klubowych (jesteśmy głównie periodykiem GKF-u!). Zapraszamy też Zainteresowanych stałym działaniem i większym wpływem do grona ściślej redakcji „Informatora” – wszak dziś redakcyjna średnia wieku jest wyższa od klubowej!

Nadchodzący rok będzie też kolejnym rokiem bez Krzysztofa Papierkowskiego. Nieodżałowany i niezapomniany Papier, dla naszych najmłodszych członków będący klubową legendą, cieszyłby się zapewne widząc, że comiesięczny „Informator” GKF-u nie tylko nadal się ukazuje, ale też (jak śmiemy twierdzić) nieustająco się rozwija. Podobnie zresztą z „Czerwonym Karłem”. Tu pozwolę sobie przypomnieć apel o materiały do numeru „japońskiego” (opóźniony numer „androidalny” powinien wyjść drukiem niewiele po niniejszym numerze „Informatora”).

Żegnamy Was, drodzy Czytelnicy, na dwa miesiące. Do kolejnego spotkania w przyszłym roku (i, jak wspomniałem na początku, w przyszłej dekadzie). Mamy nadzieję, że coraz bardziej szalejący covid (za „pierwszej fali” mało kto znał kogoś przechodzącego tę chorobę; teraz chyba każdy z nas ma znajomych lub krewnych zakażonych koronawirusem) oraz inne wypadki chodzące po ludziach nie dotkną boleśnie nikogo z nas – i przy numerze grudniowo-styczniowym odnajdziemy się w zdrowiu i w komplecie...

Niezależnie od słów pod urodzinami – składam w imieniu całej redakcji najserdeczniejsze życzenia Czytelnikom, Klubowiczom, Waszym Bliskim: bądźcie zdrowi i nie dajcie się!

INFORMATOR

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI



#365 • LISTOPAD 2020

UKAZUJE SIĘ OD 1987 ROKU

FANDOM

Urodziny członków

Aleksandra Markowska

Spotkajmy się na Zoomie

Karolina Kaczkowska

Z Pokemonami do Narnii

INFORMACJE

Zapowiedź „Czerwonego Karła”

Przerażające Zabawki

Janusz Piszczek

Zapowiedzi wydawnicze

Artur Łukasiewicz

Serialowisko

Niუსy

PROZA

Krzysztof T. Dąbrowski

Quija

PUBLICYSTYKA

Adam Cetnerowski

Top 10 gier według Cetiego 2. Odcinek 10

Grzegorz Szczepaniak

Okruchy Ogana. Korespondencja 116

Artur Łukasiewicz

Recki z myszką: Koziorożec I

Oko na serialu: Dla całej ludzkości

Andrzej Prószyński

Półka z DVD

HUMOR

Jan Plata-Przechlewski

Są jeszcze w Galaktyce sędziowie!

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

4 ADRES:
80-395 GDAŃSK
UL. OPOLSKA 2

5 STRONA:
6 WWW.GKF.ORG.PL

KONTO BANKOWE:
5 VOLKSWAGEN BANK
7 42 2130 0004 2001 0671 8241 0001

KRS: 0000098018

12 „INFORMATOR GKF”
ISSN 1505-8476
15 WYDAWNICTWO BEZPŁATNE
16 NAKŁAD 150

REDAKCJA:
JAN PLATA-PRZECHELEWSKI
18 GRZEGORZ SZCZEPANIAK
MARCIN SZKLARSKI
MICHAŁ SZKLARSKI
JAROSŁAW S. KOSIOREK

8 STAŁA WSPÓŁPRACA:
DOROTA NOWAK
WERONIKA SOB CZAK
22 ADAM CETNEROWSKI
JANUSZ PISZCZEK
31 ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI
36 ARTUR ŁUKASIEWICZ

E-MAIL:
40 INFORMATOR@GKF.ORG.PL

OKŁADKA:
ADAM MATEJA

43 DRUK:
PRINT GROUP SP.Z O.O.
HTTP://PRINTGROUP.PL

URODZINY

Drodzy Urodzeńcy z przełomu dat!

Czegóż dziś możemy Wam życzyć?
Chyba – obok spełnienia marzeń – zdrowia
oraz powrotu do normalności
(i oby nie była to fantastyka!)

Redakcja „Informatora”

GRUDZIEŃ

- 2 Bernhard Mischka
- 4 Lance Oszko
- 5 Krzysztof Sokołowski
Tomasz Świdorski
- 8 Mariusz Czach
- 11 Dariusz Mróz
- 13 Piotr Terszel
- 14 Ewa Białołęcka
Michał Stawski
- 15 Monika Gilowska
- 25 Adam Lewandowski

STYCZEŃ

- 2 Adam Cetnerowski
Ewa Szadkowska
Lucyna Szmaglik
- 5 Łukasz Pankiewicz
- 6 Bohdan Kałużny
Witold Siekierzyński
- 8 Agnieszka Bohosiewicz-
-Gabrowska
- 10 Mirosław Malak
Jan Plata-Przechlewski
- 21 Mateusz Beger
Jarosław Piotrowski
- 22 Marcin Grzybowski
- 25 Hubert Kozij
Helena Strokowska
- 26 Eugeniusz Dębski

...wszystkim zaś
Członkom GKF
i Czytelnikom
„Informatora”
składamy przy okazji –
najszerzej
życzenia
zdrowych Świąt
oraz normalnego
Nowego Roku!

/red./





OLA MARKOWSKA

SPOTKAJMY SIĘ NA ZOOMIE

Sytuacja jaka jest, każdy widzi, spotkania klubowe są zawieszona na czas nieokreślony i nie ma na razie widoków na to, że coś się polepszy w tej kwestii. Postanowiliśmy więc przenieść część aktywności klubowej do przestrzeni internetowej (wiadomo, że to nie to samo, ale chociaż tyle możemy zrobić). W piątek 20 listopada, odbyło się spotkanie pod roboczą nazwą „Spotkajmy się na Zoomie”, które miało być z założenia organizacyjno-towarzyskie – chcieliśmy zebrać pomysły i sugestie Klubowiczów co do aktywności, które możemy przenieść online. Na początku spotkania Ceti przedstawił pokrótce nowe gry zakupione dla Klubu, po czym omówiliśmy stan przygotowań do „Nieotwarcia Nordconu”. Następnie rozgorzała dyskusja na temat możliwości spotkań zdalnych – pojawiły się pomysły na gry, prelekcje, dyskusje o książkach. Decyzją większości Klub Filmowy zrezygnuje z Netflix’a na rzecz innych rozwiązań – da nam to większe możliwości w kwestii repertuaru i nie będzie wykluczać tych, którzy nie mają abonamentu Netflix’a. Z dużą aprobatą spotkał się też pomysł spotkania wspominkowego z archiwalnymi filmami z Nordconów, co spowodowało z kolei rozmowę na temat ulubionych Nordconów poszczególnych uczestników spotkania. Było dużo wspomnień, bardzo ucieszyliśmy się też z uczestnictwa Klubowiczów, których widzujemy zwykle rzadziej (obecny był Kraków i Londyn). Rozmawialiśmy też o tym, co możemy zrobić po powrocie do „normalności” – powstał m.in. pomysł wspólnych wyjazdów na konwenty. Spotkanie (które przeciągnęło się do czterech godzin) zakończyliśmy bardzo przyjemną grą w *Jednym słowem* – na 10 ekranów! Zarówno w trakcie, jak i po, zgłoszyły się osoby chętne do zorganizowania aktywności online, ale oczywiście nadal czekamy na ciekawe inicjatywy; jeżeli więc masz fajny pomysł – czekamy na zgłoszenia na maila: prezes@gkf.org.pl lub na Facebooku. Jakoś musimy wspólnie przetrwać ten trudny czas! ■

.....

ANDROIDY & SI NADCIĄGAJĄ

Po ponad półrocznym poślizgu spowodowanym różnymi zawirowaniami, w tym pandemią, kończą się prace nad 25 numerem „Czerwonego Kartka”. Wiele wskazuje na to, że ćwierćsetna odłona naszego sztandarowego fanzinu trafi do drukarni niemalże równoległe z tym numerem „Informatora”. A w roku przyszłym „CK” będzie świętował 30-lecie swojego powstania. Przypominamy, że tematyka następnego wydania fanzinu będzie poświęcona Japonii. Już dziś zapraszamy do nadsyłania opowiadań, tekstów publicystycznych i grafik do tego numeru ■



KAROLINA „MANGUSTA” KACZKOWSKA Z POKEMONAMI DO NARNII

Wielkanoc 2020. Pierwszy lockdown w Anglii. Pogoda piękna i słoneczna, wyszłam zatem na spacer po dzielnicy Oxfordu, w której pracowałam już jakiś czas, ale zamieszkałam całkiem niedawno – Headington Quarry. Poszłam zwiedzać i łapać Pokemony przy okazji :)

Niedaleko od domu, na mapie w grze zauważyłam pokemonową siłownię, której jeszcze nie odwiedzałam. Nazywała się... C.S. Lewis' grave (grób C.S. Lewisa). I tak gra na komórkę – przez jednych uwielbiana, przez innych krytykowana czy wręcz potępiana – uświadomiła mi, w jak ciekawej okolicy mieszkam.



Pokemonowa mapka zaprowadziła mnie na maleńki cmentarz przy zabytkowym angielskim Holy Trinity Church (kościół Świętej Trójcy). Teren kościoła przylega z jednej strony do osiedla domków, jakich w Anglii wiele, z drugiej do końskiego padoku – jeździec konny na chodniku w Oxfordzie to taki koloryt lokalny ;).

Na cmentarzu rzeczywiście pochowano twórcę Narnii oraz jego brata. Cokolwiek myślę dzisiaj o cyklu powieściowym Lewisa – nie da się ukryć, że *Opowieści z Narnii* były jednymi z najważniejszych książek manguściego dzieciństwa. Stojąc nad grobem ich autora, poczułam się naprawdę wzruszona.

Niedługo później goniłam za Pokemonami w pobliskim parku Bury Knowle. Stoi w nim kilka drewnianych rzeźb zwierząt, ale to dopiero lew, który wydaje się czuwać nad okolicą, przykuł moją uwagę. Nabrałam podejrzeń, że skądś go znam. Rzut oka na pokemonową mapkę potwierdził, że parkowa rzeźba przedstawia Aslana. Kilkanaście metrów dalej znajduje się także szafa, przez którą Łucja weszła do Narnii, a zaraz obok lampa.

Headington Quarry jest oddalone od centrum Oxfordu o jakieś pół godziny autobusem lub godzinę marszu, z czego część dystansu trzeba pokonać pod górę. Fanom literatury fantastycznej polecam odwiedzić także to miejsce ■

Wszystkie fotografie na s. 6–7 Karolina „Mangusta” Kaczowska



#GROZAJESTKOBIEȚĄ
PRZERAŻAJĄCE ZABAWKI

Nasza klubowa Koleżanka, korespondentka „Informatora”, redaktor naczelna „Czerwonego Karła” – opublikowała swoje opowiadanie grozy w kobiecej antologii; gratulujemy Manguście – i oddajemy głos Wydawcy:

13 autorek o bardzo różnych charakterach stworzyło kobiecą antologię, którą łączy jeden motyw... ZABAWKI. Misie, lalki, pozytywki, puzderka, a nawet gadzety dla dorosłych mogą być świadkami przerażających historii, opowiedzianych w tej niezwykłej książce, będącej wynikiem projektu #grozajestkobieta, zapoczątkowanego przez portal Grozownia.

Pamiętajcie, że zabawkami możemy się bawić, ale też nimi stać w rękach innych, najczęściej złych, sił!

Zbiór opowiadań, który trzymasz w rękach, Drogi Czytelniku, to efekt projektu zapoczątkowanego na portalu Grozownia w marcu 2019 roku. Wtedy właśnie rozpoczęłam cykl wywiadów z wybranymi przedstawicielkami polskiej literatury grozy, który nazwałam „Groza jest kobietą” ■





ADAM „CETI” CETNEROWSKI

TOP 10 GIER WEDŁUG CETIEGO 2

ODC. 10 ZOMBICIDE

I koniec 2020. Mam nadzieję, że się nie powtórzy!

Zombicide

Autor: Raphaël Guiton, Jean-Baptiste Lullien,
Nicolas Raoul

Rok wydania: 2012–2020

Liczba graczy: 1–6 (1–12)

Czas gry: 60–180 minut

Ranking BGG*: 466 / 168 / 974

Ranking Cetiego: 9

◉ siedem lat po premierze *Zombicide* to nie tyle gra, ile system* gier, które łączy kilka cech. Zawsze opowiada o grupie postaci (najczęściej przypadkowych), które muszą stawić czoło hordzie potworów za pomocą znalezionego w trakcie gry sprzętu i wypełnić misję związaną z danym scenariuszem*. Na

chwilę obecną są trzy niekompatybilne linie produktów:

- Oryginalny *Zombicide* – czyli ludzie kontra zombie we współczesnym świecie (patrz serial *The Walking Dead*); poza podstawką dostępne są dwa duże (samodzielne*) dodatki*. W tym roku ma być premiera nowej edycji*.
- Fantasy – dwie samodzielne podstawki, które można łączyć: *Czarna Plaga* (zombie) i *Zielona Horda* (orki) kontra czarodzieje, wojownicy i inne znane archetypy.
- SF – film *Obcy 2* i inne podobne, gdy grupa kosmicznych marines / załoga statku / banda najemników stawia czoła kosmitom; tu dostępna jest podstawka i samodzielny dodatek *Black Ops*.

Ponieważ *Zombicide* jest dziełem firmy CMON, znanej z wielkich projektów na Kickstarter* i ton plastikowych figurek, więc do





każdej wersji dostępnych jest dużo dodatków w różnych zestawach promocyjnych*.

Po tym niemałym wstępie – możemy porozmawiać o rozgrywce, która jest bardzo podobna, niezależnie od wersji gry. Wybieramy jeden scenariusz, który wskaże nam układ planszy i cel, jaki musimy osiągnąć (nieraz sprowadza się do ucieczki z mapy bez utraty żadnych postaci). Każdy z graczy wybiera lub losuje postać i otrzymuje (skromną) broń startową.

W swojej turze gracz wykonuje kilka akcji: rusza się, atakuje, przeszukuje pomieszczenie,

zmienia ekwipunek. Gdy wszyscy gracze mieli okazję wykonać swoje akcje – następuje tura przeciwników. Ci są sterowani prostą logiką („sztuczna inteligencja” to zbyt ambitne określenie). Jak mogą, to atakują. Jak nie mogą, to poruszają się tam, gdzie widzą wrogów, a jeśli nie widzą, to gdzie ich słyszą. Następnie, w wybranych miejscach planszy (*spawn points* znanych z gier komputerowych), pojawiają się nowi wrogowie. I jak na początku gry szwendają się po planszy pojedynczy, słabi wrogowie – to z czasem przemieszczają się ich całe hordy i zaczyna robić się nerwowo.



Postacie zdobywają doświadczenie (głównie zabijając wrogów – bo to tego typu gra), dzięki czemu zdobywają nowe umiejętności. Jednak im silniejsi są gracze, tym więcej wrogów będzie pojawiać się na planszy. Dzięki temu w grze występuje naturalna eskalacja konfliktu.

Jeżeli gra ma jedną poważną wadę – to słabe „ogony” w doświadczeniu rozgrywki. Ponieważ przeciwnicy wychodzą losowo, przedmioty (w tym kluczową broń) otrzymuje się losowo i wynik ataku jest losowy, to w skrajnych wypadkach dana rozgrywka może być ultraprosta (bo wszystko idzie po naszej myśli) lub przegrana na starcie (bo atakuje nas od początku boss). Takie jest jednak ryzyko tak otwartej gry, szczególnie gdy mowa o Ameritrashu*.

Moja opinia

O tym, jak bardzo lubię tę grę, przekonałem się w ubiegłym roku, gdy zawsze entuzjastycznie reagowałem na pomysł wyciągnięcia jej podczas cotygodniowych rozgrywek. Nie łatwo jest znaleźć grę, która pozwala grać w sześć lub więcej osób, tłumaczenie zasad sprowadza się do „rób to, co my”, a jednocześnie daje ciekawe wybory i emocje na kilka godzin.

Jako „moją” wersję wybrałem wariant SF (*Invader / Najezdźca*), gdyż po pierwsze wersję Fantasy ma kolega, a chciałem spróbować nowej. Po drugie, naprawia on dwie rzeczy, które moim zdaniem psują trochę rozgrywkę w pozostałych wersjach. Pierwsza to otwieranie drzwi – w *Najezdźcy* drzwi są otwarte i można je zamknąć w ramach strategii walki z obcymi. W dwóch pierwowzorach drzwi są zamknięte i trzeba je wyważyć. Jeśli rzut na wyważenie nie działa, to.... tracimy turę (a jak po pechowym krasnoludzie jest elfi łucznik, to już wiemy, że w tej turze nic się nie wydarzy). Z drugiej strony brakuje mi elementu namnażania, który następuje po wyważeniu drzwi. Drugi to walka z bossami i „grubasami”. Mają one specjalną zdolność, że można ich zdjąć tylko bronią zadającą duże obrażenia (a nie dużo obrażeń – w grze ma to znaczenie). Jak taki wyjdzie, zanim zdobędziemy broń, to zaczyna się loteria pt. czy uda się wylosować co trzeba z przepastnej talii ekwipunku. *Najezdźca* rozwiązuje ten problem pozwalając na „skoncentrowany ogień” – walimy wszystkim w jednego wroga i mamy szansę go zabić. Drugą stroną medalu to to, że za łatwo czasami takiego potwora zdjąć.

Obiektywnie (i wg rankingu BGG) zgadza się, iż wersja fantasy jako całokształt jest

najlepsza. Ja jednak wolę mojego *Najeźdźcę*. Może bo jest mój i pomalowany? ■

Słowniczek:

Ameritrash (Amerithrash, American-style) – określenie (często pejoratywne) odnoszące się do gier stawiających na pierwszym miejscu *theme* (patrz Gra z klimatem), często kosztem dodania wyjątków w zasadach i balansu* oraz bazujące w dużej mierze na losowości. Nazwa bierze się z tego, że historycznie większość gier planszowych projektowanych w USA była robiona w tym stylu.

BGG BoardGameGeek (boardgamegeek.com) – strona o gra planszowych z jedną z największych, jeśli nie największą, bazą danych gier planszowych; ponadto na tej stronie znajdują się bardzo aktywne fora dyskusyjne, rynek gier i wiele innych przydatnych materiałów. Niezbędny zasób prawdziwego fana gier planszowych. GKF też ma swój profil z listą gier w bibliotece: https://boardgamegeek.com/collection/user/GKF_

Dodatek (rozszerzenie, ang. *expansion*) – dodatkowe elementy do gry kupowane w osobnym zestawie. W wersji minimalistycznej są to nowe karty czy żetony. W wersjach rozbudowanych zawierają całe pudełko nowych elementów oraz sporo zmian w zasadach. Szczególnym przypadkiem są tzw. Standalone Expansion (samostanne), które można używać jako oddzielnej gry lub połączyć z poprzednią częścią.

Edycja – nowe wydanie gry zawierające na ogół zmiany w zasadach, jakości komponentów, dołączeniem dodatków* do podstawki. Nowa edycja to nie jest po prostu dodruk istniejącej gry.

Kickstarter – platforma *crowdfundingowa* (polski odpowiednik to *wspieram.to*) pozwalająca wesprzeć ciekawe projekty. Gry

planszowe są jedną z największych kategorii na Kickstarter.

Podstawka – podstawowa wersja gry, tj. bez oddzielnie wydanych suplementów (tzw. Dodatków).

Samodzielny dodatek – dodatek* (rozszerzenie) do gry, który umożliwi rozgrywkę bez podstawki, bo zawiera wszystkie niezbędne elementy.

Scenariusz – scenariusz dyktuje zasady obowiązujące podczas danej rozgrywki; m.in. zasady rozstawienia początkowego, cel gry, specjalne zasady, a w przypadku gry przygodowej – wnosi dużo fabuły.

System – zbiór fundamentalnych zasad wykorzystanych w różnych grach z jednej serii. Zastosowanie tego samego systemu pozwala graczom szybciej wdrożyć się w nową grę, chociaż powstaje ryzyko, że przegapi się zasady szczegółowe w danej grze. Przykłady to m.in. *Zombicide*, *18XX*, *Commands & Colors*.

źródło: boardgamegeek.com





JANUSZ PISZCZEK

UZUPEŁNIENIE LISTOPADA

Mroczne Imperium – Guy Haley

Data wydania: 27 listopada 2020

Wydawca: Copernicus Corporation

Leman Russ – Chris Wraight

Data wydania: 27 listopada 2020

Wydawca: Copernicus Corporation

Trzynastka (Black Man) – Richard Morgan

Data wydania: 27 listopada 2020 (wznowienie)

Wydawca: MAG



ZAPOWIEDZI GRUDNIA

Harde Baśnie – Antologia

Data wydania: 1 grudnia 2020

Wydawca: Sine Qua Non

Zdecydowani na walkę (The Will to Battle) – Ada Palmer

Data wydania: 9 grudnia 2020 (sprzedaż tylko w księgarni int.

Maga. Szeroka dystrybucja w styczniu)

Wydawca: MAG

Obcy w obcym kraju (Stranger in a Strange Land) – Robert A. Heinlein

Data wydania: 9 grudnia 2020 (sprzedaż tylko w księgarni int.

Maga. Szeroka dystrybucja w styczniu)

Wydawca: MAG (wznowienie)

Matka żelaznego smoka (The Iron Dragon's Mother) – Michael Swanwick

Data wydania: 9 grudnia 2020 (sprzedaż tylko w księgarni int.

Maga. Szeroka dystrybucja w styczniu)

Wydawca: MAG

Świat Pyłu (Dust World) – B.V. Larson

Data wydania: 10 grudnia 2020

Wydawca: Drageus

Świat Postępu (Tech World) – B.V. Larson

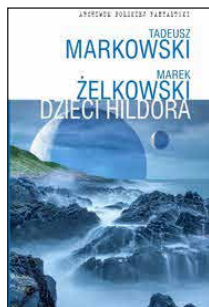
Data wydania: 10 grudnia 2020

Wydawca: Drageus

Dzieci Hildora – Tadeusz Markowski, Marek Żelkowski

Data wydania: 15 grudnia 2020

Wydawca: Stalker Books



**Powrót do gwiazd (Search the Sky) – C.M. Kornbluth,
Frederik Pohl**

Data wydania: 15 grudnia 2020

Wydawca: Stalker Books

Czas próby (Through Fiery Trials) – David Weber

Data wydania: 15 grudnia 2020

Wydawca: Rebis

Zabawki – Antologia

Data wydania: grudzień 2020

Wydawca: Wydawnictwo IX

Przesmyk – Marek Zychła

Data wydania: grudzień 2020

Wydawca: Wydawnictwo IX

Podarować niebo – Romuald Pawlak

Data wydania: grudzień 2020

Wydawca: Wydawnictwo IX

Genius loci – Joanna Pyplacz

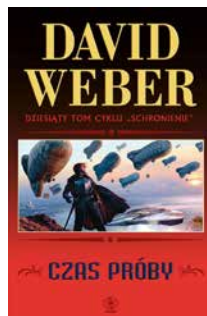
Data wydania: grudzień 2020

Wydawca: Wydawnictwo IX

Delikatny nóż (The Subtle Knife) – Philip Pullman

Data wydania: grudzień 2020 (wznowienie; okładka filmowa)

Wydawca: MAG



WSTĘPNE ZAPOWIEDZI STYCZNIA

Wydawcy koncentrują się na tytułach przygotowanych na rok 2020. O pierwszych premierach przyszłorocznych wiemy niewiele. Ale jak zwykle styczeń będzie ubogi w premiery.

Wybrańcy (Chosen Ones) – Veronica Roth

Data wydania: 13 stycznia 2021

Wydawca: Media Rodzina

Ostatni (Przewalskis hest) – Maja Lunde

Data wydania: 13 stycznia 2021

Wydawca: Literackie

**Księga Drogi i Dobra (Tao Te Ching) – Lao Tzu, Ursula
K. Le Guin**

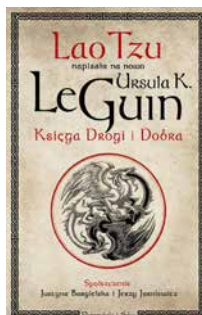
Data wydania: 19 stycznia 2021

Wydawca: Prószyński i S-ka

**Upadek Smoków (The Fall of Dragons) – Miles
Cameron**

Data wydania: 21 stycznia 2021

Wydawca: MAG



Rzadkie powietrze (Thin Air) – Richard Morgan

Data wydania: 22 stycznia 2021

Wydawca: MAG

Piknik na skraju drogi i inne utwory – Arkadij

Strugacki, Boris Strugacki

Data wydania: 21 stycznia 2021

Wydawca: Prószyński i S-ka

Rebelia Corinari (Rise of Corinari) – Ryk Brown

Data wydania: 28 stycznia 2021

Wydawca: Drageus

Gra pozorów (Skin Game) – Jim Butcher

Data wydania: 29 stycznia 2021

Wydawca: MAG

Wszystkie te światy (All These Worlds) – Dennis E.

Taylor

Data wydania: 29 stycznia 2021

Wydawca: MAG

Łzy Diabła – Magdalena Kozak

Data wydania: Styczeń 2021

Wydawca: Fabryka Słów

Dziwny John (Odd John) – Olaf Stapledon

Data wydania: styczeń 2021

Wydawca: Stalker Books

Ucieczka z Wenus (Escape on Venus) – Edgar Rice

Burroughs

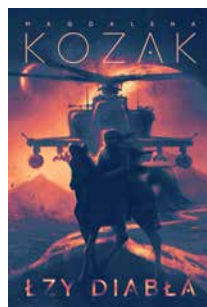
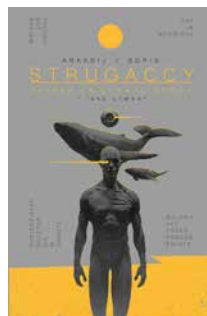
Data wydania: styczeń 2021

Wydawca: Stalker Books

Ostatni brzeg (On the Beach) – Nevil Shute

Data wydania: Styczeń 2021

Wydawca: Rebis



POŁĄCZONE REDAKCJE „INFORMATORA” ORAZ „CZERWONEGO KARŁA” POLECAJĄ UWADZE P.T. CZYTELNIKÓW SF/F/H ZBIÓR OPOWIADAŃ GROZY KAROLINY „MANGUSTY” KACZKOWSKIEJ GALERIA, KTÓRY UKAŻE SIĘ W PRZYSZŁYM ROKU NAKŁADEM WYDAWNICTWA DOM HORRORU.

ARTUR ŁUKASIEWICZ

PREMIERY LISTOPADA

Pandemia szaleje, studia filmowe nie pracują, a jeśli nawet – to na pół czy ćwierć gwizdka, więc nie ma nic ciekawego i pachnie malizną. Tylko tyle udało mi się wygrzebać. Zdecydowałem dołączyć kanał Disney+, bo widać, że o nas nie zapominają.

- 5 listopada
Paranormal / sezon 1 / Netflix
Egipski serial o hematologu, który – wciągnięty w wir niewyjaśnionych wydarzeń – staje się mimowolnie ekspertem od spraw paranormalnych.
- 7 listopada
Helstrom / sezon 1 / Fox
Daimon i Ana Helstrom są dziećmi tajemniczego i potężnego seryjnego mordercy. Mimo tragicznych wydarzeń z przeszłości – Helstormowie na pozór prowadzą normalne życie. Daimon na co dzień jest profesorem antropologii, a Ana właścicielką domu aukcyjnego. Jest to jednak tylko przykrywka dla ich mrocznych działań...
- 8 listopada
Mroczne materie / sezon 2 / HBO
Kontynuacja losów Lyry i Willa, czyli bohaterów trylogii Philipa Pullmana. Tym razem w ich ręce wpada magiczny nóż zdolny otwierać przejścia między światami – i bohaterowie muszą walczyć z mrocznymi demonami.
- 20 listopada
Marvel's 6/6 / Disney+
Ten serial dokumentalny odkrywa bogate dziedzictwo Marvela w postaci pionierskich postaci, twórców i narracji. Przedstawia przebiegi narracji, popkultury i fandomu w uniwersum Marvela. Odcinki tej antologii będą obejmować takie tematy, jak: światowej sławy artyści Marvela, pionierskie kobiety z Marvel Comics, odkrywanie „zapomnianych” postaci Marvela – i wiele więcej.
- 23 listopada
Next / sezon 1 / Fox tv
To serial opowiadający o genialnym naukowcu z Doliny Krzemowej – Paulu LeBlanku – który zdobył fortunę i sławę dzięki wymyślonym przez siebie innowacjom zmieniającym świat. Kiedy odkrywa, że jedno z jego dzieł – potężna sztuczna inteligencja nazwana NEXT – może przynieść zagładę ludzkości, zostaje wyrzucony z firmy przez własnego brata. Żeby zapobiec katastrofie, łączy siły z agentką specjalną Shea Salazar.
- 29 listopada
30 srebrników / sezon 1 / HBO
Nowy hiszpański serial grozy produkcji HBO Europe. Książdz Vergara, uciekając przed swoją przeszłością, szuka schronienia w ramionach Szatana, który wymusza na nim odnalezienie skarbu: jednego z 30 srebrników, które Judasz otrzymał za wydanie Jezusa.



HATTRICK RAKA

Trwa pasmo sukcesów Radka Raka w plebiscytach literackich w Polsce (a co za tym idzie – na rynku czytelnictwa: księgarnie czekają na dodruki!). Po tym, jak zgarnął Nike, spływają na niego kolejne dowody uznania. Jury **Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego** przyznało mu Główną Nagrodę 2020 za *Baśń o węzowym sercu...* (Złote Wyróżnienie otrzymał Jacek Dehnel za *Ale z naszymi umarłymi*, a Srebrne Jan Mszczyszyn za *Necrolotum*). Ogłoszono również wyniki plebiscytu na **Nagrodę Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla**: w kategorii powieść wygrał Radek Rak z *Baśnią o węzowym sercu...*, a w kategorii opowiadanie Magda Potocka i jej *Chomik*. Radkowi gratulujemy kolejnych zasłużonych laurów, natomiast warte odnotowania jest wyróżnienie nagrodą z dziedziny fantastyki autora jak najbardziej głównonurtowego, czyli Jacka Dehnela. Do tej pory obserwowaliśmy raczej exodus autorów fantastycznych do głównego nurtu po honory – ale odwrócenie tego kierunku cieszy nas jakby bardziej.

grzeszcz

2021 – ROKIEM LEMA

W związku z setną rocznicą urodzin Stanisława Lema, przypadającą na 12 (lub 13) września 2021, Sejm RP, doceniając wpływ jego pisarstwa na literaturę XX wieku oraz znaczenie tegoż dla rozwoju kultury polskiej i światowej, ustanowił przyszły rok rokiem Lema. Od nadmiaru uznania dla fantastyki w ostatnich miesiącach może się zakręcić w głowie.

grzeszcz

ODSZEDŁ KOLEJNY Z NESTORÓW POLSKIEJ FANTASTYKI

23 listopada w Wiedniu zmarł Konrad Fijałkowski (ur. 1939) – prof. dr hab., specjalista z zakresu cybernetyki oraz informatyki. Fanom fantastyki dał się poznać jako autor klasycznie zbudowanych opowiadań sf oraz dwu powieści. Redagował również strony z fantastyką w miesięczniku „Problemy”. Jego teksty przetłumaczono na kilkanaście języków.

sedenko.pl/grzeszcz



ODESZŁA CZĄSTKA DARTHA VADERA

28 listopada, w wieku 85 lat, zmarł David Prowse – brytyjski kulturysta i aktor. Do historii kina wszedł jako ten, który użyczył sylwetki DARTHOWI VADEROWI z *Gwiezdnych wojen* (poza scenami walk, gdyż łamał tyczki imitujące miecze świetlne). Jego związki z fantastyką były jednak liczne: kilkakrotnie zagrał monstrum Frankenstein, wystąpił w *Mechanicznej pomarańczy* oraz w *Jabberwocky*, pojawia się też w serialach – m.in. *Doktor Who*, *Kosmos 1999*, *Autostopem przez galaktykę*. Mimo konfliktu z Lucasem gościł w Polsce na jednym z konwentów.

jpp

DZISIEJSZE MUPPETY

W połowie listopada, na portalu streamingowym Disney+, pojawił się szczęśliwocinkowy serial *Muppets Now!*. To oczywiście nic innego, tylko dostosowane do naszych czasów i epoki pandemii, zwariowane szoł z udziałem gwiazd muzycznych, telewizyjnych i youtuberów oraz naszych doskonale znanych Muppetów. Wszystkim kieruje Żaba Kermit, Miss Piggy robi za gwiazdę stylu, Szwedzki Kucharz partaczy gotowanie, Fazi opowiada czerstwe dowcipy. Jest nieudacznik Gonzo,

tylko trochę brakuje samej muzyki, bo niestety nie pomyślano o piosenkach, tylko skupiono się na wywiadach lub skeczach. Dobór aktorskich gości jest niekiedy wprost szaleńczy. Choćby pojedynek kulinarny Danny'ego Trejo i Szwedzkiego Kuchara po prostu zwala z nóg. Jednak wszystko pachnie dziecięcą widownią – a przecież było to widowisko, które bawiło też dorosłych. Tym razem jednak mnie nie bawi; a może po prostu wyrosłem z takiego poczucia humoru?



Bazyl

MINIATUROWY BETON

25 listopada, na youtubowym kanale gdańskiego Teatru Miniatura, pojawił się godzinny spektakl lalkowy oparty na recenzowanej przeze mnie w wakacyjnym numerze powieści Marty Milewskiej *Latawiec z betonu*. Jest to wersja nieco skrócona i skondensowana – co nie oznacza wcale, że gorsza. Wycięcie pewnych wątków nie spowodowało utraty spójności dzieła, choć moim skromnym zdaniem zaważyło nieco na braku emocji, która bije z kart powieści. Opowieść ta jest teatrem jednego autora Wojciecha Stachury, który pokazuje całe spektrum swoich aktorskich i lalkarskich możliwości. Spektakl dostępny jest za darmo on-line na youtubowej stronie teatru Miniatura pod tytułem *Beton* – polecam: <https://www.youtube.com/watch?v=xfLh182zXnw>

Bazyl

PRAWDZIWI TWARDZISZON!

Ekstremofilną bakterię z gatunku *Deinococcus radiodurans* austriaccy i niemieccy naukowcy umieścili na zewnątrz Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Eksperyment wykazał, że bakteria nie uległa zniszczeniu podczas dwunastomiesięcznego pobytu za specjalnym szkłem imitującym warunki marsjańskie.

wg: gazeta.pl

KOSMICZNE PARTNERSTWO PUBLICZNO-PRYWATNE

Rakieta Falcon 9 ze statkiem Crew Dragon z astronautami na szczycie wystartowała ze stanowiska SLC-39A na kosmodromie Cape Canaveral 15 listopada o 19:27 czasu lokalnego (16 listopada o 1:27 czasu polskiego). Tym samym rozpoczęła się pierwsza kontraktowa misja załogowa, jaką dla agencji NASA wykonuje firma SpaceX. Lot przebiegł pomyślnie i już około 12 minut po starcie statek Crew Dragon (ochrzczony przez astronautów nazwą *Resilience*) oddzielił się od górnego stopnia rakiety Falcon 9. Niedługo po tym otworzył nos z urządzeniami komunikacyjnymi i portem dokowania oraz rozpoczął samodzielny lot w kierunku Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. W pierwszej kontraktowej misji Crew I wykonywanej dla NASA w ramach Komercyjnego Programu Załogowego statek Crew Dragon zabrał w kierunku ISS czworo astronautów: trójkę Amerykanów oraz Japończyka. Spędzą oni na pokładzie stacji pół roku. Ich powrót na Ziemię planowany jest w tym samym statku.

wg: urania.edu.pl

TO CI DOPIERO PIERWSZA GWIAZDKA!

Nadchodząca wielka koniunkcja Jowisza i Saturna nastąpi już 21 grudnia 2020 roku. Będzie to ich pierwsze aż takie zbliżenie od roku 1623 – zaś następnego nikt z nas nie zobaczy...

jpp

KRZYSZTOF T. DĄBROWSKI
Quija

Marek miał pięć lat, a Piotrek sześć i pół, i byli tak różni od siebie, że nikt by nie przypuszczał, iż mogą być braćmi. A jednak nimi byli.

Marek miał ciemne kręcone włosy i oczy czarne jak węgielki, a Piotrek był blondynem o jasnozielonych kocich oczach. Marek był krągłutki jak bułka, a jego brat wysoki i chudy jak tyczka.

Wracali z tatą od dziadka. Samochód jechał pustawą drogą pomiędzy łąkami, polami i lasami. Słońce przyjemnie złościło okolice, a do wnętrza wkradały się przyjemne aromaty rozbudzonej wiosną przyrody.

— Tato! A to takie dziwne na biurku u dziadka, to co to było? — zapytał Marek.

— To był telefon. Takich kiedyś używano. Wkładało się palec w otworek z odpowiednią cyfrą i się kręciło tarczą, i w ten sposób wybierało się numer.

— Łał, czad! — podsumował Piotrek, tylko nie wiadomo było, czy chodzi mu o opis telefonu, czy raczej o okładkę płyty, na której bobas nurkujący w basenie płynie za dolarowym banknotem ciągniętym przez haczyku przez jakiegoś anonimowego wędkarza.

— I to były takie wasze komórki, tak? — upewniał się Marek.

— Zgadza się — odparł ojciec.

— Nirvana. Puścimy? — zapytał Piotrek.

— Puścimy.

Patryk nie spodziewał się takiego efektu. Prędej tego, że jego synowie już po paru sekundach zaczną błagać, by zmienić płytę; a tymczasem wszystko wskazywało na to, że – pomimo różnych matek – to po nim chłopcy odziedziczyli geny odpowiadające za upodobania muzyczne.

Bracia najpierw siedzieli z rozdziawionymi ustami i dosłownie chłonęli dźwięki jak gąbka wodę, a potem zaczęli rytmicznie kiwać głowami i machać nogami. Przy trzecim kawałku wydzierali się już razem ze swoim nowym ulubionym wokalistą, choć nawet nie wiedzieli, jak on się nazywa.

W końcu zajechali na miejsce.

— I z tymi telefonami to jest tak, że trzeba uważać na numery jakie się wybiera — Patryk cierpliwie tłumaczył tłumaczył Piotrkowi. — Bo są takie numery, że potem strasznie dużo trzeba zapłacić za taki telefon.

— To można go nie kupować — stwierdził rezolutnie Marek.

— Chodziło mi o rozmowę, że taka rozmowa jest bardzo kosztowna.

— A teraz, jak rozmawiamy, to też będziemy musieli za to zapłacić?

— Nie, łobuziaku, nasze rozmowy nic nie kosztują — Patryk zmierzył mu grzywkę.

Chłopiec od razu się nadał i podjął usilne próby uporządkowania niesfornej fryzury.

— Ja wiem, o co chodzi — Piotrek zwrócił się do Marka. — Jak idziesz na spacer, to nie musisz jeść ani pić, bo w każdej chwili możesz wrócić do domu i tam to masz za darmo. Ale jakbyś szedł do sąsiedniej wioski, to po drodze musisz kupić jakieś picie i batonika, bo inaczej będziesz spragniony i umrzesz z głodu. A jakbyś szedł na drugi koniec świata, to byś musiał mieć całą walizę batoników i ciągnąć cysternę z oranżadą. I żeby to mieć, to musiałbyś za to zapłacić dużo pieniędzy. I tak samo jest z rozmowami, jak dzwonimy do dziadka, to on jest blisko

i rozmowa mało kosztuje, ale jakby dziadek pojechał do Australii, to by był daleko i dużo trzeba by było zapłacić.

— Musiałby mieć takie telefoniczne batoniki i oranżadę, tak?

— Dokładnie.

Patryk był pod wrażeniem tego, jak sprytnie jego starszy syn wytłumaczył to młodszemu. Sam by lepiej tego nie wymyślił.

— Ale do Australii to musiałby mieć jeszcze cysternę wody oprócz tej oranżady — dodał Marek.

— A to czemu? — zdziwił się Piotrek.

— No, do gaszenia pożarów.

Nastał wieczór, ale chłopcom wcale nie chciało się spać. Oczekali więc, aż tata z mamą przestaną zaglądać do pokoju i sprawdzać, czy już zasnęli — i postanowili pobawić się jeszcze trochę.

— Śpisz? — zapytał kontrolnie Marek.

— No, coś ty — obruszył się Piotrek. — Jestem starszy, doroślejszy.

— Piotruś. Bo wiesz... no...

— Aha?

— Bo ja cały czas nie rozumiem, czemu ty masz inną mamę niż ja.

— Tata mówi, że się nie dogadywali i dlatego mama przeprowadziła się do wujka Tadka.

— Może jakby mieli z tatą lepszy telefon, to by się dogadywali — zadumał się Marek.

— Może — westchnął Piotrek, po czym usiadł na łóżku i się przeciagnał. Po chwili Marek zrobił to samo.

Starszy z braci dał nura pod łóżko i wyciągnął jakąś grę. Marka bardzo to ucieszyło, lubił gry.

— Ten zespół, Narvana — oznajmił Piotrek potrząsając grą. — Ty wiesz, że ten wokalista.

— Ten Kurt Kobmbajn, tak?

— Cobain — Piotrek poprawił brata. — Ty wiesz, że on nie żyje.

— Jest taki umarty na amen? — upewniał się Marek.

— I tak, i nie.

— Zmienił się w zombiaka? — Marek nielecho się przeraził.

— Nie, no coś ty głuptasie — zaśmiał się starszy z braci.

— To nie rozumiem...

— On ma teraz życie wieczne, bo jest duchem.

— Ale fajowo! — krzyknął Marek.

Piotrek natychmiast przyłożył palce do ust sygnalizując mu, że przecież mieli być cicho.

Młodszy zamilkł i przytaknął głową.

— Z duchami można pogadać — wyszeptał Piotrek. Po chwili, potrząsając grą, dodał: — A to jest taki telefon do nich.

Na pudełku było napisane Quija.

Starszy brat zgasił lampkę, wyciągnął z szuflady dużą świecę i zapałki.

Co ten Pietrek wyprawia, rany Julek! — Dla Marka to był prawdziwy szok. Przecież rodzice zabronili bawić się zapałkami.

Było jednak za późno, zapałka już płonęła.

Chłopiec pobladł i bezradnie obserwował, jak brat zapala świecę.

Widząc jego reakcję, Piotrek zrobił bardzo poważną minę w stylu jestem-taki-dorosły i wskazał palcem na nocną lampkę przy łóżku Marka.

Po chwili ciemności pokoju rozświetlał już tylko roztańczony płomień świecy.

Pokój stał się tajemniczym i nieco niepokojącym miejscem. Na ścianach pojawiły się rozedrgane cienie. Normalnie Marek by się ich wystraszył, że ojej, ale widząc stoicki spokój brata, sam też się uspokoił i stwierdził, że te cienie to nie żadne potwory, tylko po prostu zwykłe cienie. A to, że się ruszają, to nie żadne czary mary, a jedynie skutek tego, że płomień świecy od czasu do czasu się porusza. A porusza się bo...

Odetchnął i jego oddech sprawił, że płomień świecy znowu zaczął tańcować.

No tak, porusza się przez powietrze! – Gdy tylko odgadł przyczynę tajemniczego zjawiska, natychmiast przestał się bać. A z drugiej strony, zaniepokoiło go co innego. Zmartwił się tym, że już się nie boi, bo przecież to dorośli niczego się nie boją...

Czy ja robię się dorosły? – zadał sobie w duchu to straszne pytanie, ale wołał go nie wypowiadać na głos z obawy, że starszy brat to potwierdzi. Co jak co, ale wołał stary porządek rzeczy, gdzie on był młodszym bratem, który miał dorosłego, aż sześciopięćletniego braciszka, który go chronił i bronił i wszystko mu tłumaczył, jak trzeba było.

Tak, to było zdecydowanie lepsze, niż miałby sam sobie wszystko tłumaczyć i bronić się przed różnymi różnościami jak, na przykład, ten straszny pies sąsiadki. Byłby go i lubił, bo mordkę miał fajną, ale widząc Marka od razu szczekał i dlatego bał się, że psiak go nie lubi i że pewnie chce ugryźć. A skoro ugryźć, to może jest kanibalem i lubi jeść ludzi...

O dziwo – Piotrek się go nie bał, przy nim ten straszny zwierz od razu się uspokajał.

Piotrek nieraz mu tłumaczył, że wystarczy, że przestanie się bać, a pies przestanie szczekać, ale łatwo mu było mówić, był przecież starszy i większy.

Fakt faktem, że on, Marek, też był przecież większy od psa, ale... ale przecież ten psiak miał takie ostre zęby, brr!

— Patrz — powiedział Piotrek wyciągając z pudełka drewnianą tablicę, na której były cyfry i litery.

Prócz nich były jeszcze słowa 'yes' i 'no', ale że były po angielsku, to Marek nie miał zielonego pojęcia, co one znaczą, a głupio mu było pytać. Wołał udawać, że też wie, co i jak z tym angielskim.

Po chwili zauważył, że tych słów jest więcej – na samym dole planszy pisało 'Good bye', a na górze 'Quija'.

Ciężkie jest życie dorosłych – pomyślał. – Trzeba znać tyle słów, których się nie rozumie i jeszcze na dodatek trzeba je zrozumieć.

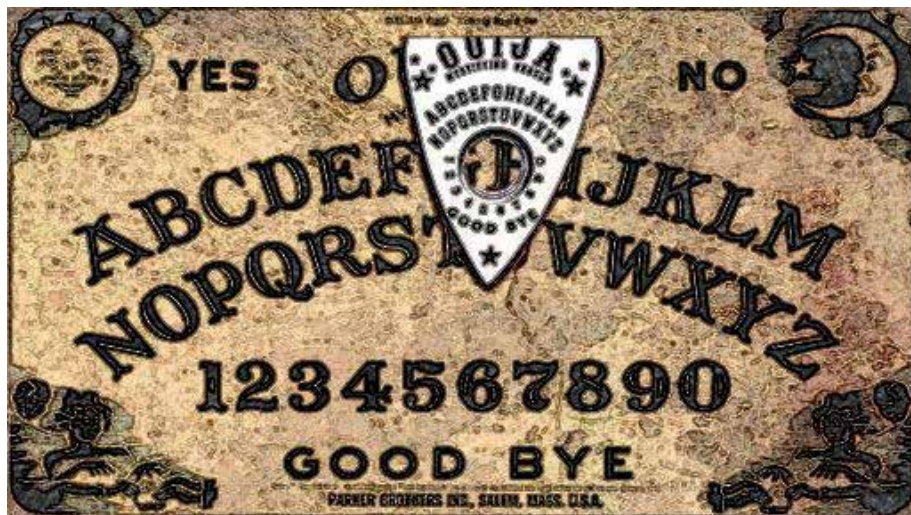
Prócz tego wszystkiego w rogach, u góry planszy, były dwa rysunki. Jeden przedstawiał słońce z uśmiechniętą ludzką twarzą, a drugi księżyc, którego sporo u było i on również miał twarz, ale już inaczej, bo z profilu.

W zasadzie to te dwa obrazki zrobiły na nim największe wrażenie – tak wielkie, że aż wyszeptał:

— Łał.

— I jeszcze to — starszy brat wyciągnął z pudełka mały drewniany trójkąt.

Marek wpatrywał się we wskaźnik z tak wielkim zaciekawieniem, jakby to było co najmniej UFO. Rozbawiło to Piotrka, ale powstrzymał śmiech, żeby nie peszyć braciszka.



— I na tym czymś położymy palce i musimy je trzymać bez przerwy, choćby nie wiem co — Piotrek czuł się jak fachowiec, bo poczytał o tym w internecie, więc takim tonem przemawiał do młodego: — I jak wezwiemy ducha, to on nam zacznie odpowiadać, przesuwając to drewnienko. I nie możemy się bać ani nic. Nie możemy też palców odrywać, bo się obrazi i sobie pójdzie. A pamiętaj, że to będzie sam wielki Kurt Cobain z Narvany.

— Łał — z trudem wykrztusił podekscytowany Marek.

— Zaczynamy.

Chłopcy przyłożyli palce do wskaźnika i zaczęli wzywać swego nowego idola:

— Kurcie Cobainie! Kurcie Cobainie, wzywamy cię!

Przez kilka chwil nic się nie działo i w końcu bracia zaczęli niepewnie po sobie popatrywać.

Po kolejnych paru minutach byli już mocno rozczarowani i bliscy zwątpienia. Nadal jednak milczeli dociskając palce do drewnienka.

W końcu zaczęły im drętwieć ręce i już mieli przerwać zabawę, gdy nagle w pokoju zrobiło się zimno. Bardzo zimno. Tak zimno, że z ust zaczęły im wylatywać obłoczki pary.

Ale najdziwniejsze było to, że drewnienko, samo z siebie, zaczęło przesuwać się po tablicy, zatrzymując się na kolejnych literach.

Chłopcy odczytywali je drżącymi głosami z narastającym przerażeniem:

— K-O-S-Z-T... P-O-Ł-A-C-Z-E-N-I-A... S-T-O... Z-Ł-O-T-Y-C-H... Z-A... M-I-N-U-T-Ę...

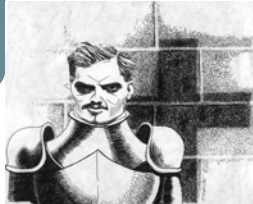
— O Boże, rodzice nas zabiją — jęknął Piotrek i zemdłał.

Dla Marka nic nie było tak straszne jak to, że brat stracił przytomność. Cokolwiek było tego przyczyną, to musiało być to tak przerażające, że aż o rany.

No bo jak inaczej wytłumaczyć to, że jego sześciopółletni dorosły brat został doprowadzony do takiego stanu?

W tej sytuacji Marek uznał, że też musi zemdleć. Przecież tak robią dorośli, kiedy są w szoku.

Skupił się na tym z całych sił – i od tego skupienia w końcu też zemdłał ■



KORRESPONDENCA 116

ZARAZA NA SZEKSPIRA I JEGO PRZEKLĘTE PAJĘCZYNY

11 listopada to dzień, który we Wspólnocie Brytyjskiej oraz Francji obchodzony jest jako upamiętnienie ofiar I wojny światowej. W Wielkiej Brytanii zginął co ósmy młody człowiek, który został zmobilizowany (oraz co piąty absolwent szkół publicznych, w tym uniwersytetów; pokazuje to dobitnie, że w tamtej wojnie szafowano nie tylko krwią szeregowców, ale także młodszych oficerów). Straty Francji przekroczyły 1,3 mln żołnierzy. Do tych liczb trzeba doliczyć jeszcze miliony rannych, z których wielu zostało kalekami do końca życia oraz zmarłych w wyniku działań wojennych cywilów, a także zniszczenia w infrastrukturze walczących państw. Jedną z największych operacji wojskowych I wojny światowej – bitwa nad Sommą – kosztowała samych tylko Brytyjczyków 400 000 ofiar (Francuzów zginęło 200 000, a Niemców 400 000); w trwającej ponad 4 miesiące rzezi wojskom Ententy udało się przesunąć front zaledwie o 12 km! Jednym z uczestników tej tragedii był młody porucznik-sygnalista John Ronald Reuel Tolkien, który stracił wówczas wszystkich, oprócz jednego, ze swoich najbliższych przyjaciół. Jego przeżyciom oraz temu, co spotkało jego rówieśników, poświęcona jest książka **Johna Gartha Tolkien i pierwsza wojna światowa**.

Zanim jednak przejdę do *ad remu*, jeszcze mała listopadowa dygresja. Odzyskanie przez Polskę niepodległości w 1918 roku i płynąca z niej euforia, której trudno się dziwić po 123 latach niewoli,

zupełnie wytarły z historycznej pamięci Polaków fakty, że w I wojnie światowej w szereгах zaborczych armii oraz jako ofiary cywilne śmierć poniosło blisko milion osób (a bilans ten nie uwzględnia zgonów w wyniku szalejących wówczas epidemii). Straty gospodarcze trudne są do oszacowania, ale znane powiedzenie o radości z odzyskanego śmietnika oddaje jak ułaf postpierzszowojenną rzeczywistość na ziemiach polskich. Żadne z państw, których armie przetaczały się przez Polskę, grabiąc ją, zabijając mieszkańców i paląc wszystko na swojej drodze (to, co zrobili Prusacy z Kaliszem w 1914 roku, do dziś woła o pomstę do nieba), nie wypłaciło nam nawet złamanej marki czy rubla odszkodowania; nie doczekaliśmy się też finansowych oraz rzeczowych rekompensat ze strony ZSRR zapisanych w traktacie ryskim (ciekawe, ile dziś tego jest z odsetkami?). Biorąc to pod uwagę, naprawdę należy chylić czoła przed naszymi przodkami, którzy potrafili własnymi siłami dźwignąć tę ruinę, którą była ówczesna Polska, z błota i rozpocząć mozolny proces modernizacji kraju. Gdyby starczyło im czasu, kto wie, czy Niemcom i Sowietom poszłoby z nami tak łatwo jak w 1939. Po II wojnie światowej sytuacja znowu się powtórzyła – blisko 6 mln ofiar, ogromne straty gospodarcze i terytorialne oraz zero jakichkolwiek odszkodowań. A teraz jeszcze szkaluje się całą Polskę, bo jakaś częśćka zdeprawowanych obywateli II RP, której elity wymordowano m.in. w Piaśnicy, Palmirach, Katyniu, a na okupowanych terenach

wprowadzono drakońskie prawa, wysługiwała się Niemcom w ich dziele ostatecznego rozwiązania pewnej palącej ich kwestii... Czy choćby sytuacja z ostatnich dni – groźby, że się nam odbierze wynegocjowane pieniądze z budżetu UE, jeśli nadal krajem będzie rządzić PiS, popierane oczywiście przez niektórych polskich europarlamentarzystów oraz zrewoltowane środowiska w kraju. Wolne żarty! Nie z takich terminów się Polacy salwowali, w przeciwieństwie do np. Francuzów, którzy po doświadczeniach I wojny światowej nie chcieli umierać za Gdańsk i w efekcie musieli oddać Hitlerowi Paryż (biorąc zresztą potem udział, bez specjalnych przymusów, w akcji wytapywania własnych obywateli pochodzenia żydowskiego i transportowania ich do obozów zagłady).

Książka Gartha powstała w roku 2003, ale po polsku wyszła dopiero w 2020. Trochę to dziwne, bo wydawało się, że z Tolkienaliami jesteśmy w miarę na bieżąco. Zastanawia to tym bardziej, że na okładce znany brytyjski autor biografii (m.in. C. S. Lewisa) Andrew N. Wilson stwierdza, że to najlepsza książka o Tolkienie z wydanych dotychczas. Trzeba od razu powiedzieć, że nie jest to czysta kurtuazja. Czyta się ją naprawdę nieźle, mimo ogromu przekazywanych przez Gartha informacji, zwłaszcza że wiele z nich może być dla polskiego czytelnika, nie będącego absolwentem filologii angielskiej, egzotyczna. Tym większe ukłony dla Agnieszki Sylwanowicz, że się tak pięknie z tłumaczeniem uporała, że ta kulturowa bariera jest niemal nieodczuwalna.

Autor, szanując zdanie swojego bohatera, że naiwny psychologizm szukający w biografii twórcy klucza do jego dzieła, jest drogą na manowce, zestawia przeżycia Tolkiena z fragmentami jego tekstów i pozwala czytelnikowi samodzielnie ocenić, jak było naprawdę. Lecz nie posuwa się do tego, by udowodnić, że

Profesor się mylił, odzegnując od biografizmu. Wykazał jednak, że bez względu na to, jaki był stosunek Tolkiena do postulatów psychoanalitycznej szkoły krytyki literackiej, wojenne obrazy i przeżycia znalazły odzwierciedlenie w tym, co napisał nie tylko w tamtym czasie, ale i później (łącznie z *Władcą Pierścieni*). Większości rozpoczętych w okopach czy w trakcie pobytu w szpitalach prac JRRT nie ukończył, pozostawiając je wyłącznie w szkicach; część z nich zarzucił, bo zmieniła się koncepcja jego mitologii, inne poprawiał tak zawzięcie, że nie udało mu się ich przed śmiercią doprowadzić do ostatecznej postaci. Niemniej *rzezi nad Sommq*, jak nazywał bitwę, w której wziął udział, na pewno nie da się oddzielić od jego pisarstwa, choć uległa ona przetworzeniom wynikającym z artystycznego temperamentu największego pisarza XX wieku oraz pod wpływem wyznawanych przez niego wartości.

Najważniejszą częścią książki jest historia TCBS – nieformalnej grupy przyjaciół ze Szkoły Króla Edwarda w Birmingham, w której pierwsze skrzypce grali: John Ronald Reuel Tolkien, Christopher Luke Wiseman, Robert Quilter Gilson oraz Geoffrey Bache Smith. Ich relacje, nawiązane w licealnych czasach, przetrwały okres studiów, a potem wojny aż do chwili, w której dwójka z nich poniosła śmierć. Z początku ich klub był co najwyżej sposobem wyniesienia się nad niedopuszczonymi do komitwy kolegami. W trudnych czasach wojny okazał się jednak oazą normalności, a przy okazji także formułowania ważkich postulatów odnośnie własnej drogi życiowej. Trzeba bowiem dodać, że każdy z nich obdarzony był artystycznymi talentami, które chcieli wykorzystać jak najlepiej dla dobra kraju. Ich niespisany nigdzie program opierał się na dwóch biegunach: chrześcijańskiej moralności i klasycznej estetyce, które chcieli przeciwstawić oszalałemu światu i w ten

sposób przestawić go na właściwe tory. Zasadniczym wydarzeniem, które miało dla nich charakter formacyjny, była tzw. londyńska narada z 12.12.1914 roku (to najciemniejsza noc w roku, którą rozjaśnia dopiero światło przynieszone przez świętą Łucję). Przeorganizowali wówczas swoją grupę, odcinając się od tych najmniej poważnych i podjęli wyzwanie przemieniania świata przez sztukę – chcieli zostawić go lepszym niż zastany. W jej trakcie doznali również pewnego rodzaju uniesienia, kiedy słuchając siebie nawzajem, zorientowali się, że razem każdy z nich jest „cztery razy bardziej inteligentny”, jakby wchłaniał zdolności pozostałych. To pod wpływem tego doświadczenia Tolkien zdecydował się zostać poetą.

Młodzi TCBS-owcy byli kimś w rodzaju konserwatywnych kontrrewolucjonistów. Obserwując bezpruderyjne zachowanie swych podkomendnych w trakcie urlopów, wykorzystujących rozluźnienie wiktoriańskiej obyczajowości, doszli do wniosku, że uzdrowić sytuację mógłby rozwój feminizmu, który sprzeciwi się traktowaniu kobiety jako narzędzia do zadowalania mężczyzny. (Przyglądając się błyskawicowej rewolucji na naszych ulicach, domagającej się m.in. tzw. prawa wyboru, czyli zdjęcia wszelkiej odpowiedzialności za reprodukcję z mężczyzn, to myślę sobie, że albo oni byli bardzo naiwni, albo przez te sto lat coś dziwnego stało się z postępowymi kobietami.) Członkowie klubu ze Szkoły Króla Edwarda nade wszystko pragnęli, aby każdy człowiek odzyskał rozsądek, czystość oraz umiłowanie rzeczywistego i prawdziwego piękna.

Swoje partnerstwo i posłanie traktowali bardzo poważnie, rozumieli także niezwykłość misji, której się podjęli. Pomimo towarzyszącego im idealizmu, byli jednak świadomi realnych zagrożeń. W liście do Tolkiena Smith napisał m.in.: *moją główną pociechą jest to, iż jeśli dziś zginę [...] – to zostanie przynajmniej*

jeden członek wielkiego TCBS, który wypowie to, o czym marzyłem i z czym wszyscy się zgodziliśmy. Śmierć bowiem jednego z członków nie może, o czym jestem głęboko przekonany, rozwiązać TCBS. [...] Śmierć może nas uczynić wstrętными i bezradnymi jako jednostki, nie jest jednak w stanie położyć kresu nieśmiertelnej czwórce. Było to swego rodzaju prorocтво, bowiem to właśnie John był jednym z dwu członków klubu, który przeżył wojnę i jedynym, który w swej twórczości wyraził jego idee.

Charakteryzując twórczość Tolkiena, w której obok mitopei najważniejszy udział miała fantastyka, Garth zwraca uwagę na cechę zapewniającą teź przewagę nad realizmem – jest nią zdolność ostrzegania przed zagrożeniami epoki, w której powstaje. *Realizm to odruchowa tendencja unikania skrajności jako czegoś nieprzekonującego, natomiast fantastyka aktywnie z nich korzysta. Przygląda się uważnie kondycji ludzkiej i ją objaśnia. Potrafi też dotrzymać kroku katastrofalnym wyobrażeniom potencjalnych dyktatorów. Czyż można wyobrazić sobie większą nobilitację dla naszego ulubionego gatunku niż te trzy zdania? I czy nie łapaliśmy się wielokrotnie na tym, że pewne kulturowe przemiany zachodzące w naszym świecie, zostały już opisane w książkach, które przeczytaliśmy?*

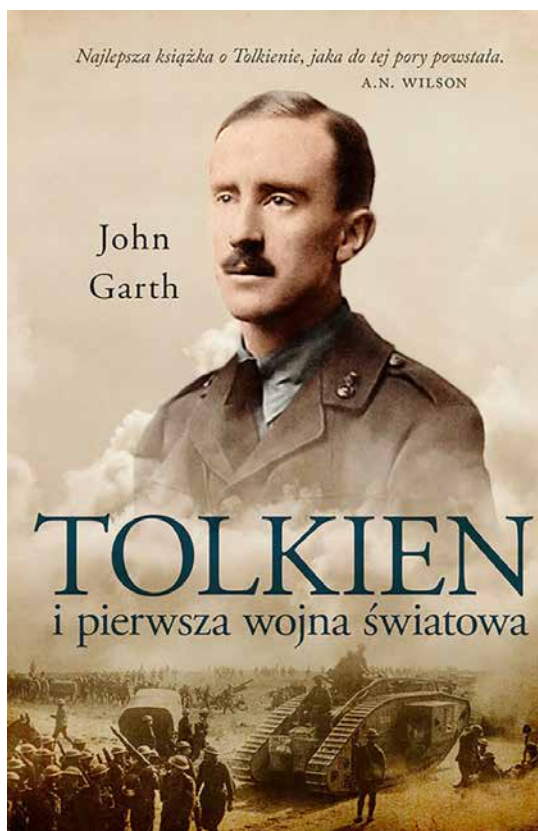
To, co Tolkien zobaczył w okopach nad Somą, uznał nie tyle za chorobę swoich czasów, co objaw zepsucia, które dotknęło walczących po obu stronach. Nie utożsamiał zła z Niemcami, jak to się zdarzało twórcom realistycznym, dostrzegł je natomiast w materializmie, który odarł jego współczesnych z cech, które pozwoliłyby im przeciwstawić się duchowi swoich czasów. W tej perspektywie wprowadzenie do walki przez Brytyjczyków czołgów było aktem agresji przeciwko człowiekowi. Może dlatego w pisanej przez niego w czasie I wojny światowej opowieści o upadku Gondolinu

Melko (późniejszy Melkor) rzuca przeciw elfom smoki, które jako żywo przypominają te piekielne maszyny. Stąd też wypływa sprzeciw Profesora wobec czytania jego tekstów jako alegorie – upraszczają i spłycają przekaz, którym tak naprawdę jest rozczarowanie epoką, w której przyszło mu żyć. Ma ono wymiar nie tylko zawodu, jaki spotkał jego pokolenie, ale wiąże się z faktem, że muszą żyć w tak bardzo odmitologizowanych i pozbawionych magii czasach. Z tego też powodu tak intensywnie bronił baśni i nie zgadzał się na oskarżanie jej o eskapizm. Baśń wyrażała tęsknotę za tym wymiarem rzeczywistości, z której została ona odarta, a przez to ludzie zostali niejako zamknięci w okaleczonym świecie.

Występując przeciw skutkom rozczarowania Tolkien tworzy z jednej strony historie, których bohaterowie uparcie walczą o *podtrzymanie wartości odziedziczonych, instynktownych bądź inspirujących – mających wewnętrzną i niezmienną wagę* (dlatego wartości nie można oceniać na podstawie rezultatów osiągniętych przez ich obrońców). Z drugiej zaś – sam jego świat jest czarem rozwijającym się zgodnie z planem wyśpiewanym przez Ainurów w Wielkiej Muzyce. Wprowadzenie do niej dysonansów Melka sprawia, że istoty mieszkające na Ardzie będą musiały stawić czoło smutkom, cierpieniom i własnym słabościom. Ale, tocząc zmagania w obronie słusznej sprawy, dostrzegają, że ich wysiłki przyczyniają Stwórcy chwały, a świat staje się cudowniejszy. Ten idealizm nie był tylko wyrazem wiary Tolkiena ślepej na cierpienia milionów żołnierzy. W pamiętnikach uczestników tamtych walk też pojawia się przekonanie, że ich wysiłek i ofiara zaowocują tym, że świat uzyska piękniejszy kształt.

W swoim felietonie świadomie pominałem zupełnie kulturowe, językowe i historycznoliterackie rozważania zawarte w książce Gartha, które stanowią jej solidny

fundament. Nie jest jednak zadaniem recenzenta referowanie wszystkich odkryć autora, bo co by pozostało do odczytania czytelnikowi? Nie ciekawi Was, np., skąd się wziął tytuł tego tekstu? Powtórzę zatem raz jeszcze: zgadzam się z opinią, że to najlepsza książka o Tolkienie; i niech nie zwiedzie nikogo fakt, że biograficzny film *Tolkien*, oparty – jak się zdaje – w dużej mierze na tej pracy, zrobił spektakularną klapę i rozczarował większość fanów JRRT oraz krytyków filmowych. Miarą wartości nie są wszak sukcesy ich obrońców, ale nieprzemijający urok tychże, który w każdej epoce przyciąga apologetów. Po *Tolkiena i pierwszą wojnę światową* Johna Gartha sięgnijcie koniecznie! Nie rozczarujecie się! ■



W HOŁDZIE KAPITANOWI CZARNO-BIAŁEJ BANDERY

11 listopada opuścił nas Jerzy Kapała. Jego nazwisko nie jest zapewne znane szerokiemu gronu fanów fantastyki, ale tym z nas, którzy rozmiłowali się w muzyce parapetów z czarno-białą klawiaturą, nie powinno być obce. (Swoją drogą ciekawa to koincydencja, że dwaj najwięksi popularyzatorzy klasycznej muzyki elektronicznej w naszym kraju nosili te samo imię oraz nazwisko na literę „K” – jak... klawisze). W swoich audycjach w internetowej stacji Pro-radio prezentował nie tylko największych światowych gigantów syntezatorów, ale także promował najciekawszych krajowych twórców (niektórych z nich mogliśmy także usłyszeć w trakcie konwentów sf, jak chociażby gdańszczanina z elbląskim rodowodem Przemysława Rudzia). Trzeba bowiem powiedzieć i to, że w swych programach Kapała nie stronił od tematów fantastycznych, zwłaszcza związanych z literackimi inspiracjami el-muzyków, a także o ich wkładzie w produkcje filmowe. W tej drugiej konkurencji obok Vangelisa (*Blade Runner*) czy Waltera (od kilkudziesięciu już lat – Wendy) Carlosa (*Clockwork Orange*) pierwsze skrzypce gra niewątpliwie ulubiony przez JerzyKa (a także przeze mnie) zespół Tangerine Dream (*Firestarter*, *Legend* – wyłącznie w wersji dla USA, *The Keep*, *Near Dark*, że wymienię tylko te tytuły, które przychodzą mi teraz do głowy). Sam zresztą Kapała nigdy nie ukrywał, że fantastykę czyta i ją lubi. Prawdziwą perełką był podcykl jego audycji „Pro-radio czyta nie tylko dla dzieci”, w którym osobiście interpretował m.in.



opowiadania Lema, ilustrując je ambientowo-kosmicznymi kompozycjami. Siłą jego programu była bowiem nie tylko muzyczna erudycja (posiadał ogromną wiedzę na temat historii ulubionego gatunku i znał dziesiątki ciekawostek związanych z powstawaniem konkretnych albumów czy koncertów, nie stronił także od muzyki rockowej czy poezji śpiewanej, ze szczególnym uwzględnieniem twórczości StE-da oraz Jacka Kaczmarskiego i Przemysława Gintrowskiego) i ogromne poczucie humoru (z jego słynnym *chłe, chłe, chłe*), ale także nie-naganna dykcja oraz ciepły tembr głosu, który otulał i z miejsca zniewalał słuchacza nieskończonymi pokładami dobra. Kto choć raz go usłyszał, pozostawał nim zahipnotyzowany

długo jeszcze po zakończeniu audycji i jak w narkotycznym transie czekał na następne spotkanie z jego właścicielem *po drugiej stronie internetowego strumienia*.

Fanem jego audycji zostałem od pierwszej, którą udało mi się wysłuchać (w roku bodajże 2012) i nawet jeśli z jakichś powodów w sobotni wieczór nie mogłem uczestniczyć w niej na żywo, czekałem pół tygodnia, aby pojawił się jej zapis w sieciowym podcaście (niestety, od połowy listopada podcasty zniknęły ze strony Proradia – zostałem więc podwójnie osierocony). Także nie tylko najbardziej fantastyczna muzyka na świecie przyciągała do „Czarno-białych klawiszy”, ale przede wszystkim osobowość i głos ich twórcy. I nawet jeśli po raz kolejny słyszało się opowieść o wyprawie na warszawski koncert Mandarynek z 1983 roku,

to i tak nie dawało się oderwać uszu od tych wspomnień.

Kapała, nazywany przez swoich fanów z fejsbukowej grupy (do której nie należę, ale czuję, że znalazłbym tam wiele siostrzanych i bratnich dusz) Kapitanem, był jednak nie tylko prezydentem, ale miał za sobą również doświadczenia w muzykowaniu. Zaczynał (jak Klaus Schulze) od grzmocenia w bębny, ale później przesiadł się za parapety i pozostawił po sobie kilkanaście, może z jakimś okładem, sekwencerowych kawałków, które udowadniają, że i w tej dziedzinie miałyby wiele do powiedzenia. 18 lat temu wyszła nawet płyta z wybranymi przez niego utworami *Z szuflady i tykanie zegara*, ale dziś jest już chyba niezdożywalna. Niemniej w sieci da się znaleźć jego kompozycje (bardzo nie lubił tego określenia w stosunku do swojej twórczości, ale nie chciałem powtarzać słowa z poprzedniego zdania) i polecam ich odsłuchanie, bo to prawdziwa poezja el-muzyki (choć, na szczęście, bez wokalu). Najważniejszym jednak wkładem, jaki wniósł JerzyK do światowej muzyki elektronicznej – i nie boję się tego wielkiego kwantyfikatora użyć – był jego udział w projekcie „Tangerine Tree”, czyli utrwalenia zapisów madarynkowych koncertów zarejestrowanych przez fanów kapeli i przeznaczonych dla fanów TD. Parał się bowiem Kapała także realizowaniem dźwięku (tak to się to chyba nazywa) i zajmował remasterowaniem i miksowaniem nagrań. Wiele z nienadających się do słuchania bootlegowych taśm postawił na nogi i prezentował je potem w czasie swojej audycji. Pomagał też krajowym twórcom przenieść ich produkcje na wyższy poziom odsłuchu.

Niewątpliwie będzie go brakowało wszystkim, którzy pozostawali pod urokiem jego audycji, a zwłaszcza tym, którzy – w przeciwieństwie do mnie – mieli okazję poznać go osobiście. Kiedy w sobotę 14 listopada

zasiadłem przed monitorem komputera, by wysłuchać pożegnalnej audycji prowadzonej przez jego kolegę z internetowej rozgłośni i kiedy po bardzo emocjonalnym wstępie zabrzmiały pierwsze dźwięki bardzo ważnego dla Kapały *White Eagle* Mandarynek, popłakałem się jak bóbr. To dopiero wtedy odkryłem, że na fejsbukowej stronie radia można śledzić na żywo dyskusję jego fanów (szczęśliwie nie wyrzuca ona niezalogowanych na fejsie) i zrozumiałem, że nie tylko dla mnie była to ważna postać. Muzykę, może nawet ładniejszą i ciekawszą, może bowiem puszczać każdy, kto tylko ma dostęp do odpowiednich plików, ale audycja, żeby miała duszę, musi mieć jeszcze prowadzącego. Nikt, tak jak JerzyK, nie potrafi hipnotyzować swoim głosem i swoimi opowieściami oraz tak zarażać swoją pasją. Cholernie pusto zrobiło się bez Ciebie, mój Kapitanie!

Osiągnąwszy już szczyty patosu i wzniosłszy się na najwyższe diapazony, nie chcąc pozostawiać wrażenia, że jestem jakimś mazgajem i korzystając z okazji, że powyżej rozpisałem się nt. Tolkiena, chciałbym podzielić się z Wami projektem el-muzycznej audycji *Dźwięki Śródziemia*. Nie wiem, a w takich okolicznościach nie wypada ściemniać, czy Jerzy Kapała był także fanem fantasty (być może wspominał o tym, ale ja nie potrafię sobie niczego takiego przypomnieć), ale przecież prezentowanie dobrej muzyki nie musi się wiązać z jakimś szczególnym nabożeństwem dla literackiego pierwowzoru. Chciałbym tych kilka poniższych akapitów zadedykować temu niezwykłemu radiowcowi w nadziei, że może ktoś podchwyci ten pomysł i zrealizuje go w takiej czy innej formie.

Dla szerokich rzesz miłośników Tolkiena, a także kinomanów, muzyka Śródziemia na zawsze będzie już związana z kompozycjami

Howarda Shore'a. Bardziej wysublimowani fanowie twórczości Profesora będą się zastuchiwali w propozycje przeróżnych kapel spod znaku Tolkien-Folk, a najbardziej utalentowani sami napiszą muzykę, która będzie im się kojarzyła z Iluvatarem, Ainurami oraz Ardą. Ale czarno-biało klawiszowcy nie gęsi i swoje el-śródziemne plumkania także mają.

Na początek chciałbym przedstawić nietuzinkową postać o bardzo skomplikowanej biografii. **Jim Kirkwood** jest angielskim muzykiem i malarzem, który rozpoczynał swą przygodę w zespole black metalowym. Porzucił jednak ten projekt i zajął się karierą solową. Zmienił też instrumentarium, sięgając po syntezatory. Stworzył niepodrabialny styl, w którym połączył wątki symfoniczne, elementy najbliższej sercu każdego el-fana szkoły berlińskiej, wszystko to zaś podłął ciemnym gotyckim sosem. Mroczny klimat jego muzyki, jej niebezpieczne piękno nieodrodnie wiązało się z jego pogańskimi i gnostycyckimi przekonaniami. W roku 2012 przeżył jednak doświadczenie, którego efektem było nawrócenie – uwierzył w Chrystusa, nie tylko jako historycznie istniejącą osobę, ale Boga i Zbawiciela. Przemiana ta spowodowała porzucenie przez niego na pewien czas tworzenia muzyki na rzecz malarstwa. Z jego bandcampa można się jednak dowiedzieć, że wrócił już do swego pierwotnego zajęcia i obok malowania obrazów pisze znowu muzykę.

Wśród jego albumów szczególnie miejsce zajmują te inspirowane twórczością – a jakże – Johna Ronalda Reuela Tolkiena, o której pisze, że była z nim zawsze. Już wśród najwcześniejszych, wydawanych jeszcze na kasetach, znajdują się tytuły takie jak: *Where Shadows Lie*, *King of The Golden Hall*, *Middle Earth* (wszystkie trzy z 1990 roku), a także *Uruk Hai* (1992). W epoce CD ukazały się (nie licząc reedycji kaset): *In The Deep Places of The World* (2005),

Queen of Golden Wood (2006), *The Legend of Sam Gamgee* (EP, 2008). W roku bieżącym, jeśli wierzyć dacie umieszczonej na bandcampie artysty (niestety – ta również dobrze może odnosić się do momentu wgrania plików na platformę), Kirkwood powrócił z trzyplitywym wydawnictwem pt. *Eru Iluvatar*. To monumentalne dzieło stanowiące dźwiękowy ekwiwalent wybranych fragmentów fabuły *Władcy Pierścieni*, przy czym nie są one poukładane w sposób chronologiczny, ale dobrane pod kątem czasu trwania. Wiadomo przecież, że porządna el-muzyczna suita powinna szczerze wypełniać całą stronę winylowej płyty (przy odpowiedniej technice można upchać na niej nawet 30 minut muzyki, jak chociażby na znakomitej *Timewind* Klausa Schulze). Zaś syntezatorowy utwór poniżej 5 minut to coś w rodzaju literackiego drabble, nawet nie szkic, a ledwie pomysł. Mandarynki czy Klaus w tym czasie nawet porządnie nie byli w stanie rozgrzać klawiatury, a co tu dopiero mówić o znalezieniu właściwych akordów, że o odpowiedniej sekwencji nie wspomnę. Kirkwoodowi udaje się jednak realizować kawałki o podobnych czasach, ale ponieważ ilustrują one najprzeróżniejsze galopady (np. Rohirrimów czy wargów), mam go za usprawiedliwionego. Szczerze i gorąco polecam odwiedzenie muzycznego świata Jima Kirkwooda (na wspomnianym bandcampie i znanym portalu z filmami i muzyką znajdziecie całą masę jego albumów inspirowanych prozą innych autorów fantasy, np. Michaela Moorcocka). Tylko mocno trzymajcie bereciki, bo ta muza zrywa je razem ze skalpem!

Fanem literatury fantastycznej, czerpiącym z niej inspirację do swojej twórczości, jest holenderski (przepraszam – niderlandzki) syntezatorzyta **Ron Boots**. W przeciwieństwie do Kirkwooda obraca się on jednak zdecydowanie w kręgu klasycznej el-muzy

z dominantą w postaci szkoły berlińskiej. Uprawia więc tę odmianę muzyki elektronicznej, która łączy w sobie najlepsze cechy rocka progresywnego z sekwencerowym szaleństwem. Boots nagrywa solo, ale także z innymi klawiszowcami, a także w składach wzbogaconych o perkusistę i gitarzystę (np. w projekcie o wdzięcznej nazwie Morpheusz). Utwory inspirowane lekturą Tolkiena nigdy nie złożyły się na cały album Niderlandczyka, ale pojawiały się w mniejszych bądź większych grupach na kilku z nich. Wymieniam je więc dla porządku: *Bookworks* (1989; *Khazad Dum, Morannon, Paths of Death*), *Different Stories and Twisted Tales* (1993; *Cuivenien, Gwaihir*), *Cutting Branches* (1995; *Rohirrim* – zapisany błędnie jako *Bohirrim*), *Dream Weaver* (2000; *Aragorn*), *Fanta Magic* (2005; *Felagund, Thinuviel*). To znacznie skromniejszy wkład niż Kirkwooda, ale także bardziej zróżnicowany stylistycznie (na ścieżce *Felagunda* słyszymy nawet recytację pieśni o tym bohaterze zaczerpniętą z *Silmarillionu* Tolkiena, podobnie zresztą jak w wypadku *Thinuviel*, choć tutaj recytacja jest po niderlandzku). Na pewno nie da się odmówić tym utworom nastrojowości, niektóre są wręcz baśniowo eteryczne, zupełnie inne niż poważne, niemal symfoniczne kompozycje Anglika. Szukając klimatycznych kawałków na wieczór i dobry sen, warto po nie sięgnąć.

Chciałem też wspomnieć o albumie **Ricka Wakemana** *Songs of Middle Earth*, ale szukając dodatkowych informacji na jego temat, dowiedziałem się, że nie jest to oryginalna płyta, a kompilacja utworów z dwu innych projektów, którym zmieniono tytuły i opakowano w kadr z filmowego *Władcy Pierścieni*. Czego ci wstrętni kapitaliści nie zrobią, by zarobić na naiwnych fanach... Angielski kompozytor i producent, a przy tym klasycznie wykształcony pianista, z genialną wręcz techniką gry (oglądanie jego koncertowych popisów, kiedy

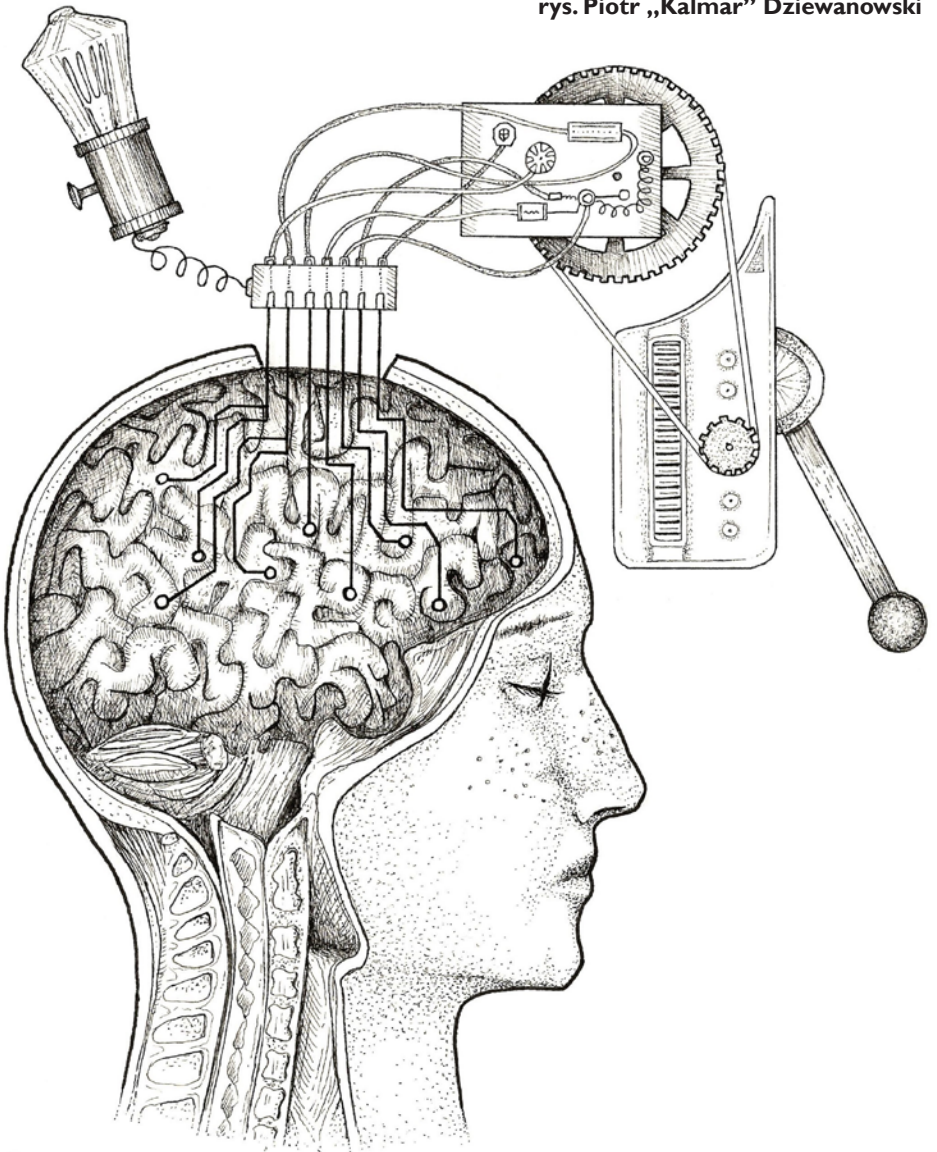
stoi otoczony ze wszystkich stron przez rzędy parapetów i rozgrzewa palce zanim uderzy w klawiatury – to miód na serce każdego fana syntezatorów), ze stażem w jednej z najciekawszych progresywnych kapel w historii muzyki rockowej – Yes, zasłynął m.in. ze skomponowania muzycznych wersji historii *Sześciu żon Henryka VIII*, *Wehikułu czasu*, *Podróży do wnętrza Ziemi* czy *Mitów i legend o królu Arturze*. Ale, jak sam się przyznał, mimo wielokrotnej lektury *Władcy...* nie znalazł pomysłu, by jakoś muzycznie go skomentować – stąd wybieg wydawcy. Trzeba jednak przyznać, że wybrane do tej mistyfikacji utwory są najwyższej próby i łatwo uwierzyć w ich śródziemny charakter. Tym bardziej szkoda, że się Wakemanowi nie udało sprostać zadaniu.

Na zakończenie wypadałoby sięgnąć po jakiegoś polskiego artystę, ale tu mam pewien kłopot, bo nie zetknąłem się z żadnym projektem, który w jakikolwiek sposób nawiązywałby do twórczości Profesora z Oxfordu. Może poza jednym, o którym już kiedyś na tych łamach wspominałem, a który nadal pozostaje dla mnie nieodkryty, czyli płytą *Silmarillion* Bogdana Szczepańskiego. O samym twórcy też wiem niewiele, poza tym, że pisze muzykę do spektakli teatralnych i ma na swoim koncie przynajmniej jeszcze jeden album pt. *Dies*. Rad bym napisał coś więcej, ale artysta nie chwali się zbytnio swoją sztuką i milczą o nim internety, dlatego zakończeniem audycji będzie cisza. Taka sama, jak na końcu każdej muzyki ■

Wasz wielkokacki korespondent

PS.

25 listopada zmarł Zenon Plech – jeden z najlepszych żuźlowców świata w historii tej najbardziej fantastycznej dyscypliny sportu. Miałem szczęście podziwiać jego kosmiczne wyczyny. Speedway już nie będzie taki sam :-)



DŹWIGNIA ZMIANY PIĘGÓW



ARTUR ŁUKASIEWICZ

KOZIOROŻEC 1 – KULISY MISTYFIKACJI

Dziwny film. Wcale nie fantastyczny – i zarazem cały spiskową fantastyką przepętniony.

Zacznijmy jak zwykle od tego, że pierwszy raz o nim usłyszałem przy trzepaku.

To był taki towarzyski Facebook dla tych nieco już starszych młodziaków aspirujących do tego by nazywać się już nastolatkami, ale jeszcze do nich nie należących. Nastolatkowie mieli sto metrów dalej ławkę, na której królowały już z papierosy i gitara, czasem ukradkiem pite zdobyczne piwo

Przy tymże trzepaku, kiedy już się wyhalsaliśmy i kiedy wszelkie pomysły na zabawę się skończyły, przychodził czas na rozmowę. Zazwyczaj opowiadaliśmy sobie obejrzone filmy – i te w telewizji, i te znane z kina. Część z nich była wyraźną konfabulacją i kompilacją naprędce wymyślonych fabuł. Część znana jedynie z relacji innych, najczęściej tych starszych, co to już sami mogli chodzić do kina. Jeszcze inna była obejrzana naprawdę.

I podobno starszy brat mojego kolegi usłyszał od jego kolegi, że ten widział w kinie film

o locie na Marsa. Ale takim fikcyjnym, który nie był naprawdę, bo oni siedzieli w telewizyjnym studio. Na pytanie „no i co się wydarzyło dalej” – kolega nie za bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć. Jedynie tylko tyle spamiętał, co mówi brat, a wchodzić w szczegóły nie zamierzał, bo brat – jak to starszy brat – ledwo go tolerował jako młodszego od siebie dzieciaka. I tak był szczęśliwy, że w ogóle zaszczylił go taką informacją.

Zapowiadało się ciekawie i zostało gdzieś w pamięci. Ale potem gdzieś umknęło.

A to był czas, kiedy kosmos powoli stawał się tym, co wypełniało moje chmurne i durne myśli trzecioklasisty, by za parę lat eksplodować sympatią do literatury sf.

Sam film okazał się być prawdą. Nawet nazwa utkwiała mi w pamięci. Nie, nie miałem możliwości nawet przy telewizyjnej okazji zobaczenia go po jakimś czasie – pewnie z racji wieku, bo (jak tu już kiedyś wspomniałem) byłem wychowywany aż do nastoletniości na zasadzie „po dobranocce i dzienniku czas





spać”. Może z małymi wyjątkami jak festiwal w Sopocie czy występ Abby.

To wszystko.

Sam film – paradoksalnie – obejrzałem po latach na kanale YouTube; dostępny nawet dziś pod tym samym adresem, który łatwo znaleźć.

Mamy więc wyprawę na Marsa. Trzech dzielnych astronautów: dowódca Charles Brubaker (James Brolin), porucznik Peter Willis (Sam Waterston) i komandor John Walker (O. J. Simpson) już siedzi w kabine startowej, kiedy na minutę przed startem misja zostaje odwołana i piloci zmuszeni są do opuszczenia kapsuły statku, a nawet i lądowiska. Rakieta jednak startuje. Słyszymy głosy astronautów odpalających kolejne moduły rakiety. Wszystko wygląda tak, jakby nic się nie stało.

Zdezorientowani astronauta zostają przetransportowani do jednej z opuszczonych baz niedaleko Houston, gdzie szef misji Dr. Janes Kelloway (Hal Hollbrook) informuje ich, że powodu braku kasy nie udało się zrobić dobrze modułu lądowania i astronauta zostaliby skazani na śmierć z powodu braku tlenu.

Nikt nie chce już finansować NASA, bo podróże w kosmos się znudziły.

Misja musi być jednak kontynuowana, bo jeśli się uda – to kasa się znajdzie. I nawet prezydent okaże więcej zainteresowania lotami w kosmos.

Szanowny pan doktor jest szantażystą, bo w razie niewykonania jego poleceń grozi zabicie rodzin astronautów.

Astronauta mają wątpliwości, ale w końcu się zgadzają. Pokornie odgrywają swoją rolę. Mijają dni, a kolejne relacje z lądowania i pobytu na Marsie są przekazywane rozentuzjaczonym widzom,

Jeden z operatorów w NASA odkrywa jednak, że sygnał nadawczy nie płynie wcale z kosmosu. Dzieli się swoimi wątpliwościami najpierw z szefostwem, a potem ze znanym sobie dziennikarzem Robertem Caufieldem (Elliott Gould); po czym w tajemniczy sposób znika i nie pozostaje po nim żaden ślad.

Dziennikarz wbrew poleceniom swojego szefostwa prowadzi śledztwo.

Niespodziewanie jednak misja na Marsa kończy się umyślnie spowodowaną katastrofą. A los samych astronautów wydaje się przesądzony. Naszej dzielnej trójce udaje się jednak uciec ze swego więzienia. Przedzierają się przez rozpaloną pustynię po to, by odnaleźć drogę do cywilizacji i skontaktować się z rodziną. Zaczyna się wyścig z czasem

Tak to mniej więcej wygląda z punktu widzenia samej fabuły.

Tu rodzą się oczywiście pytania o sens całej tej zabawy, która, moim skromnym zdaniem średnio się tu klei i jest nawet nieco absurdalna... W końcu lat siedemdziesiątych w miarę rozgarnięty radioamator półprofesjonalista potrafił złapać sygnały rozmów radiowych z i rozmów NASA z kosmonautami (są znane takie przypadki) i tylko jeden człowiek

wpadł na to, że coś tu z sygnałem nie gra? Powinno być takich ludzi mnóstwo! Podobno misja i nagrania tv są tajne, ale na planie pracuje kilkunastu techników – nie licząc pewnie tych od świateł. I nikt nic, ani słowa?

W dodatku nasz operator z NASA ginie ot tak przy partii bilardu – znika, jakby wyparował w tłumie osób w środku baru. Nikt go nie zna, nikt nigdy nie widział, nie rozmawiał? Ale tyknijmy to dla dobra sprawy.

Nasz dziennikarz idzie prosto do celu bez jakichkolwiek potknięć i wątpliwości. Wszystko mu się udaje bez jakichkolwiek problemów. Ktoś do niego strzela? To nieważne i nikt się tym nie interesuje, bo po co? Ale czemu strzela tylko raz i to niecelnie? Skoro złe NASA potrafi sprawić, że człowiek zniknie bez śladu, czemu nie radzi sobie z dziennikarzem, do tego w mocno już w średnim wieku i z brzuszkiem? Ot. Bo tak ma być i już.

No dobra, może zbyt wiele wymagam od w końcu prostej historii sensacyjnej z elementami SF. To ma służyć jedynie zabawie – i tyle.

Ale...

Trzeba zauważyć jeszcze pewien wątek. Mamy rok 1977. Początek całego wysypu teorii spiskowych podających w wątpliwość nie tylko całą misję Apollo, ale nawet negujących sam lot na Księżyc. „Na Księżycu nigdy nikt nie wylądował” – głoszą teorie poparte mniej lub bardziej idiotycznymi dowodami. Ten film idealnie się wpisał w cały ciąg tych teorii. Często służy za dowód tego, że taka mistyfikacja była możliwa – ba, nawet pewna. Zdarzają się nawet tacy magicy, którzy kadry wyciągnięte z filmu (i nieco poprawione) podają na dowód owej mistyfikacji. Niczym z *Wahadła Foucaulta* Umberta Eco – każda bzdura, która ma pozory prawdziwości, szybko w tym spiskowym świecie staje się niepodważalnym faktem.

Ba, ciekawostką może być fakt, że scenarzysta i reżyser filmu Peter Hyams pracował wcześniej dla stacji CBS i relacjonował misję Apollo – i zafascynowało go to, w jaki sposób telewizyjni magicy poprzez animację „przedstawiają” wydarzenia, których z racji braku możliwości technicznych nie dało się pokazać na żywo. Stąd blisko już było do pomysłu na film.



Jednak sam Hyams miał wtedy spore kłopoty. Jego film *Fat Chance* (Peeper) okazał się być jednym z najgorszych w tamtych czasach i powodował, że miał on zszarganą opinię w Hollywood. Miał możliwość pracować nadal tylko dzięki pieniądзом Sir Lew Gradego, brytyjskiego impresario, którego firma produkcyjna ITC wyprodukowała choćby doskonale w u nas znany starszym widzom serial *Kosmos 1999* oraz nominowany nawet w kilku kategoriach do Oscara brytyjski film *Przeklęty rejs*.

Sir Grade nawet nie za bardzo wiedział, na co właściwie daje pieniądze (i, szczerze mówiąc, mało go to interesowało). Umowę podpisano dosłownie w dwie minuty. A w tym celu producent i reżyser specjalnie udali się do Gradego do Londynu! Zajął się jedynie angażowaniem gwiazd do pracy przy filmie i bardziej interesowała go „sprzedaż” gotowego dzieła w TV oraz związane z tym zyski. Lekką ręką wyłożył potrzebne 5 milionów dolarów.

A ekipa aktorska była, co tu dużo kryć, trochę skandalizująca i intrygująca zarazem. O.J. Simpson zasłynie co prawda parę lat później, ale już wtedy mocno pracował na miano amerykańskiego boksera. Elliott Gould – miał spore kłopoty z narkotykami i, tak to nazwijmy, z nieobyczajnym prowadzeniem się. Świetny i bardzo

wyrazisty epizod zagrał tu nawet Telly Savalas, którego nasz szacowny lord zabrał wprost z planu *Kojaka*. Oczywiście chodziło o potencjalną widownię w TV. Savalas miał podobno czas na tylko jeden dzień zdjęciowy i tylko pod tym warunkiem się zgodził. Na szczęście wszystko szło jak w szwajcarskim zegarku.

O dziwo, równie łatwo poszło ekipie z NASA, od której potrzebowali choćby makietę księżycowego lądownika, bo startująca na początku filmu rakietą była jedynie 10-metrową makietą. A w samym filmie NASA to przecież zło wcielone! Ale pracownicy NASA nie konsultowali się z Waszyngtonem i za potwierdzili zgodę, gdyż ufali producentowi filmu Paulowi Lazarusowi, którego znali z czasów, gdy ten robił film *Futureworld* (kontynuację *Świata Dzikiego Zachodu*).

Film miał dobry czasowo start masowej dystrybucji na początku czerwca 1978 roku – i to tylko dlatego, że dystrybutorowi (firmie Warner Bros) nie udało się zdążyć z *Supermanem* na czas letnich premier, więc wytwórnia miała dziurę czasową. Film przyniósł sporo dudków i uznawany jest za jeden z bardziej kasowych niezależnych filmów SF w historii.

Film jest intrygującą historią. Choć dziś wydaje się trochę już „myszkowaty” – ja go nadal cenię i szanuję ■

PRAWIE TRADYCYJNE PS OD REDNACZA

Ja też mam sentyment do *Koziorożca 1* – chociaż widziałem go ponad cztery dekady temu; i odbieram go raczej jako film sensacyjny, a nie fantastyczny. Najpierw przeczytałem jego krótką zapowiedź w którymś z poświęconych kinu tygodników („Film” albo „Ekran”). Zafrapował mnie pomysł z taką mistyfikacją (acz nie łączyłem tego z teoriami spiskowymi) oraz zwrot akcji związany z katastrofą (konieczność

zamordowania astronautów). Film ten, jak na PRL-owskie warunki, bardzo szybko trafił do naszych kin, gdyż zdążyłem załapać się nań jeszcze w liceum. Zaznaczę jednak uczciwie, że w przypadku tego filmu pomysł wyjściowy podobał mi się bardziej niż jego późniejsze rozwinięcie (acz finałowa sekwencja z Savalasem faktycznie przepyszna!).



rys. Jarosław S. Kosiorek (Yarkos)

ARTUR ŁUKASIEWICZ

DLA CAŁEJ LUDZKOŚCI... (TEJ AMERYKAŃSKIEJ, RZECZ JASNA!)

No, co za pech...

Doprawdy chamstwo i nieliczenie się z jakimikolwiek planami ludzkości. Uściślajmy – tej zamieszkałej w Ameryce Północnej ludzkości.

No dobra – tej z USA konkretnie. Bo tej z Meksyku już całkiem nie. (Ale o tym później). Oto wyobraźcie sobie, że ci wredni komuniści, zamiast się trzymać z tyłu, zamiast uznać supremację Stanów Zjednoczonych, postanowili pierwsi wylądować na księżycu.

I to jeszcze na miesiąc przed misją Apollo 11.

Niechby ich wszystkich pokręciło.

Ale stało się. Rosjanin Aleksiej Leonow wypowiada formułkę o dominacji marksistowsko-leninowskiej ideologii w podboju kosmosu, a obok niego powiewa doskonale znana nam czerwona flaga z żółtym sierpem i młotem

Nawet stojący wśród techników NASA Wernher von Braun (Colin Feore) – faktyczny twórca potęgi raketowej USA nazistowski konstruktor raket V2 – stoi oniemiały z wrażenia.

Żeby od początku było jasne – to jedna z niezliczonych „nie fikcyjnych” postaci w tym serialu, która odgrywa jakąś istotną rolę. W większości mamy do czynienia z postaciami będącymi mieszanką postaci autentycznych i zupełnie fikcyjnych, które jednak będą czerpać garściami z wydarzeń (do pewnego oczywiście momentu) prawdziwych i rzeczywiście mających miejsce (choćby kiedy indziej i z kim innym).

Program o lądowaniu na Księżycu ogląda również tajemnicza Aleida Rosales (Olivia Trujillo), która po śmierci matki wyrusza wraz z ojcem Octavio Rosalesem (Arturo del Puerto) do USA, przekraczając w sposób nielegalny granicę. Mają niezłego farta, bo udaje im się ową granicę przekroczyć, a ojcu (na podstawie fałszywych papierów emigracyjnych) nawet znaleźć pracę sprzątacza w najściślej strzeżonym miejscu w USA: w samym Centrum Lotów Kosmicznych. Zaś naszej Aleidzie – która jest, jak się okazuje, mocna w cyferkach – udaje się wejść w łaski jednej z najważniejszych inżynierek i pierwszej kobiecie na stanowisku operatora lotu

FOR ALL MANKIND

From 1968 to 1972 twenty-three astronauts went to the moon. For the first time, men set foot on another world.

Here, in the words of the men who went there, is the story of the greatest adventure in human history—the voyage to the moon.



HARRY HURT

WITH A NEW INTRODUCTION



Margo Madison (Wrenn Schmitt), a w dodatku najbliższej protegowanej samego Herr Konstruktora.

No cóż, już tu lekko wali ropą z tego oka, co mi w nim właśnie czołg przejechał. Ale załóżmy, że scenarzysta, kiedy to pisał, miał chwilę słabości – bo, niestety, później leci w tym wątku typową szpiegowską (choć wyolbrzymioną) sztampą i zostawia bogu ducha winną dziewczynę samą w zawieszaniu w tej nieprzyjaznej Ameryce; a ty się zastanawiasz, po kiego jest ten cały wątek oraz coś takiego nasza droga Aleida tu robi i jaką odegra rolę? Bo do końca sezonu to nie jest wiadome. Może coś wyjaśni nowy sezon, który podobno ma być na Apple TV w lutym 2021 roku.

Najmocniej wkurzeni są dwaj fikcyjni członkowie załogi Apollo 10, misji poprzedzającej tę, która jako pierwsza miała stanąć na Srebrnym Globie. Obaj to postacie fikcyjne Edward Baldwin (Joel Kinnaman) i Gordo Stevens (Michael Doorman), których zadaniem było między innymi przetestowanie modułu lądującego na Księżycu i JAKBY CHCIELI (a Herr Konstruktor pozwolił), to by SOBIE WYLAĐOWALI. Mówi sfrustrowany Baldwin po pijaku.

A jak już się Amerykanie nawkurzali i polecili tam jako drudzy – to się okazało, że Rosjanie wysłali na Księżyc... kobietę. W imię, oczywiście, równości płci oraz kolektywu włókniarek i traktorzystek

Nie miałem pojęcia (do chwili obejrzenia tego serialu) o tym, że Amerykanie po cichu – tak samo jak prowadzili badania pilotów, po to by wyłonić z nich astronautów – potajemnie i bez rozgłosu prowadzili podobne badania z żeńską częścią populacji. Co prawda nikomu przez głowę nie przeszła nawet myśl, by pozwolić kobiecie zostać astronautką. Chciano mieć po prostu porównanie, czy kobieta-pilot potrafiłaby przejść takie same szkolenie na astronautę, jak mężczyzna.

Z dziewiętnastu wytypowanych kobiet – trzynastie ukończyło pozytywnie kurs pierwszego stopnia, a wszystkie trzy fazy ukończyła jedynie jedna z nich (Jerrie Cobb).

Program ten nieoficjalnie nazwano Mercury 13. Jest nawet na kanale Netflix dokument poświęcony tym dzielnym kobietom.

W serialu wraca się do tego pomysłu, dokonuje naboru zarówno nowych kobiet, jak i tych, które przeszły szkolenie w programie Mercury. Oczywiście USA muszą pokazać, że są „otwarte” na kobiety. Ba, wśród kandydatek jest Murzynka oraz Latynoska. Oczywiście, według serialowego standardu, jedna z nich okaże się... lesbijką. Ale to nie jest z mojej strony sarkazm, ponieważ serial wyraźnie porusza tematy, które w początkach lat 70. mogły być kontrowersyjne – i robi to w zaskakująco ciekawy sposób. Ale o tym zaraz. Najbardziej intrygującą i najbardziej wkurzającą kobietą

jest Molly Cobb (Sonya Walger), wzorowana na autentycznej uczestniczkę szkolenia Jerrie Cobb. Molly jako pierwsza Amerykanka poleci na Księżyc; ba: odkryje na nim potrzebną do przeżycia wodę.

Frustracja spowodowana zwycięstwem Rosjan zbiera żniwo w komisji senackiej badającej przyczyny porażki. Tu króluje senator Edward Kennedy, który zostanie przyszłym prezydentem USA. Wernher von Braun, który jako zwolennik pokojowej współpracy jest przeciwnikiem wykorzystywania lotów kosmicznych na Księżyc w celach militarnych (do czego wyraźnie dąży przedstawiony tu jako szwarczarakter Nixon) – zostaje pochamsku zdemaskowany jako przebrzydły hitlerowiec oraz szef obozu koncentracyjnego w okolicach Peenemunde i na samym początku 1970 roku wywalony na zbity pysk. W rzeczywistości von Braun współpracował z programem Apollo właściwie aż do 1972 roku i miał decydujący wpływ na jego dalsze działanie.

W NASA władze przejmują pravicowe skrzydło. Od tej pory liczy się tylko rywalizacja z ZSRR i jak najszybsze założenie bazy księżycowej – i to tylko po to, by móc kontrolować kosmos i największego wroga.

Wkrótce Baza, zwana Jamestown, ląduje na powierzchni jako bardzo duży moduł księżycowego lądownika. Tu też można dyskutować, jaka rakieta uniosłaby taki moduł w górę? Jak bardzo sterowalny byłby on i w jaki sposób by sobie poradził z jego lądowaniem? Ale o tym serial milczy. Jednego dnia po prostu Jamestown ląduje na Księżycu. W załodze stacji znajdują się Stevens Baldwin, Gordo Stevens i czarnoskóra Danielle Poole (Krys Marshall).

Jesteśmy gdzieś tak w czwartym czy piątym odcinku – i dopiero teraz robi się naprawdę ciekawie. Skupiamy się na samej bazie

i relacjach trójki astronautów oraz ich całkowitym niedostosowaniu się do warunków, jakie mają w tej bazie. Troje ludzi na małej powierzchni, bez choćby odrobiny intymności. W dodatku pozbawionych jakiegokolwiek wsparcia i mających do dyspozycji 6 odcinków głupawego sitcomu nagranych na prototypie magnetowidu. Zaczynają się kłopoty natury psychicznej. A w dodatku załoga, która miała wymienić naszą trójkę – no cóż, nie będzie w stanie tego zrobić. Tak więc mija dzień za dniem, pomoc nie nadchodzi, magnetowid odmawia posłuszeństwa. A i na Ziemi nie jest zbyt ciekawie. Wszystkiemu zaś winna jest wyimaginowana afera szpiegowska, którą na siłę próbuje rozwiązać FBI. Na to wszystko pojawia się jeszcze gubernator Kalifornii, niejaki Ronald Reagan, który ma ochotę na fotel prezydenta po Kennedy'm – i to on mocno podkreśla antyrosyjską histerię na Ziemi. To wszystko sprzyja paranoi, wzajemnym podejrzeniom – i w końcu szaleństwu spowodowanemu niesprzyjającym do życia środowisku Księżyca. Gordo dostaje kręćka, a Baldwin wszędzie widzi czających się i podsłuchujących Rosjan.

Drugim ciekawym wątkiem są losy pozostających na Ziemi żon i mężów naszych



astronautów. Wyobcowanie, atakujące media i duszony w sobie strach o bliskich oraz dorastające i niepokorne dzieci, którym brakuje ojca i męskiej ręki.

Trudno nie zauważyć jednak pewnego pęknięcia w tej historii. Na początku widzimy wyraźnie swoistą rywalizację między USA i ZSRR o dominację, potem zupełnie nie interesuje nas to, co robi druga strona. Wiemy tylko, że mają swoją bazę niedaleko Jamestown i że podstępują oraz jakoś mają dostęp do komputerów w Jamestown. To tak, jakby do tej pory przodująca w kosmosie nacja – nagle przestała się tym zajmować. Z jakiego powodu? Nie wiemy.

Kiedy dochodzi do kontaktu – mamy właściwie finał sezonu. Który ani nie poprawia relacji, ani ich nie rozwiązuje. Jednak ci Ruscy nie okazują się być wcielonymi diabłami.

Drugie, co w tym serialu nieco denerwuje, to brak jakichkolwiek zmian w otoczeniu – w samych USA, w okolicach NASA czy choćby w ubiorze. Wszyscy są wystylizowani na lata sześćdziesiąte, jeżdżą samochodami z tamtych lat, mieszkają w takich samych domkach. Nie widzimy tego, że rewolucja dzieci-kwiatów coś jednak w amerykańskim życiu zmieniła. Nikt nie nosi długich włosów. Muzycznie jesteśmy wciąż w latach

sześćdziesiątych. Nigdzie jednak nie usłyszymy jazgotu gitary Hendrixa. Co najwyżej trochę soulu, i to tego grzeczniejszego. Mamy rok 1974, a wciąż tkwimy w przeszłości. Przecież rewolucja obyczajowa miała miejsce PRZED lotem na Księżyc! Oczywiście mamy wątki lesbijskie – ale to temat tabu, o którym mówić oficjalnie i publicznie nie wolno. Mamy skoki w bok panów astronautów, ale to też wszystko pachnie mentalnością wczesnych lat sześćdziesiątych. Jedyнным zbuntowanym wydaje się być mąż Molly Cobb, który pozwala sobie na oficjalny strach przed śmiercią żony: na wypalenie skręta. Ale jemu wolno, bo jest artystą malarzem. Ale (nie miejcie złudzeń) on ma tylko lekko dłuższe włosy – to wszystko.

Poza tym, choć serial zwie się **W imię Ludzkości**, my tak naprawdę skupiamy się jedynie na ludzkości USA; nie wiemy, co się dzieje na świecie (poza tym, że wojna w Wietnamie trwa). Meksykańska rodzina musi się podzielić z powodu deportacji. I gdzieś tam wspomina się o równych prawach dla kobiet.

I wszystko. Kto rządzi w ZSRR, czy jakie są reakcje świata na to, co się dzieje w kosmosie? Zapomnij.

Serial jako political fiction sprawdza się średnio na jeża. Znacznie ciekawiej jest w warstwie psychologicznej. Mimo oczywistych naciągnięć fabuły oraz śmierci (nie wiadomo do końca, czemu?) dwóch autentycznych postaci związanych z NASA i programem Apollo, choć w rzeczywistości umarli oni znacznie spokojniej i przyjemniej niż w serialu. Sam serial z odcinka na odcinek robi się ciekawszy, więc trochę sobie pluję w brodę, że uległem pierwotnym recenzjom serialu, które do mnie dotarły, gdzie na podstawie trzech pierwszych odcinków pisano, iż jest marny i niewart obejrzenia. Zaręczam: im dalej, tym fajniej! ■





ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

WERSJA ROZSZERZONA

Podejrzewam, że wszyscy znają *Dobry omen* Neila Gaimana i nieodżałowanego Terry'ego Pratchetta. Jeśli zaś o mnie chodzi, to ową przecudną opowieść przeczytałem bezpośrednio przed obejrzeniem opartego na niej miniseriału, mam więc ją całkiem świeżo we wdzięcznej pamięci. No to może wspólnie ją sobie odświeżymy.

Anioł Azirafal i demon Crowley znają się od początku świata. Ten drugi w postaci węża skusił Ewę, pierwszy zaś w dobroci swojej podarował Adamowi ognisty miecz, powierzony mu w celu pilnowania wschodniej bramy Raju. Teraz, po sześciu tysiącach lat, świat ma się skończyć, i to w sposób, który wszyscy doskonale kojarzą: Antychryst, Jeźdźcy Apokalipsy, Armagedon – Wszystko Wielkimi Literami. Tyle że Azirafalowi oraz Crowleyowi, którzy zadomowili się na Ziemi, podoba się tak, jak jest – i zdecydowanie woleliby, żeby do tego

nie doszło. Co ciekawe, Adam Young, 11-letni antychryst, też jest tego samego zdania. Wszystko to zaś zobaczyła i skrętnie zapisała w wydanej w 1655 r. księdze *Przystoynie i akuratne profecyje* niejaka Agnes Nutter...

Powyższy opis jest tylko nieco dłuższy od znanego streszczenia *Władcy Pierścieni*, które w skrócie brzmi: *przybyłem, zobaczyłem, wrzuciłem*, lecz niech tak już pozostanie. W końcu mamy do czynienia z lekturą raczej obowiązkową. Lepiej więc pomówmy o jej ekranizacji, która też, o dziwo, jest nieco obszerniejsza od oryginału.

Otóż mamy do czynienia z długim, ponad pięciogodzinnym filmem, podzielonym na sześć odcinków, który bardzo wiernie oddaje fabułę powieści, pomijając jedynie dowcipy słowne, zamieszczone przez autorów głównie w przypisach. Za to pojawiają się nowe wątki, uzupełniające elegancko pierwowzór. Po pierwsze, oglądamy oczyma Azirafala i Crowleya parę





istotnych wydarzeń, które miały miejsce pomiędzy wygnaniem z Raju a narodzinami Antychrysta, jak na przykład ucieczkę jednorożca z Arki Noego. Dowiadujemy się również, dlaczego od 1793 roku Azirafal jest winien obiad Crowleyowi. Te migawki zajmują około połowy trzeciego odcinka, a dopiero po nich pojawia się czołówka i kontynuacja głównego wątku serialu. Po drugie (i bynajmniej nie ostatnie) mamy zakończenie pokazujące, co stało się z parą głównych bohaterów. W końcu obaj niewąsko narozrabiali, usiłując zapobiec Apokalipsie, czym Góra i Dół nie były, mówiąc delikatnie, nadmiernie zachwycone. Jaki rodzaj kary dla nich wymyślono i jak się to wszystko skończyło, nie będę zdradzać – to trzeba samemu obejrzeć, bo naprawdę warto!

To, że adaptacja idealnie współgra z pierwowzorem i naturalnie go uzupełnia, jest zasługą Neila Gaimana, który napisał scenariusz i pełnił funkcję producenta wykonawczego, był więc *de facto* twórcą miniseriale. Stąd ekranizację można uznać za rozszerzoną autorską wersję powieści, co zdarza się niezmiernie rzadko.

Oddziaływanie specyficznych dla różnych mediów środków wyrazu może owocować pewnymi niespodziankami. W moim przypadku były to skojarzenia miniseriale z filmami spod znaku Monty Pythona, których

bynajmniej nie miałem wcześniej, podczas czytania powieści. Zwłaszcza podczas oglądania epizodów biblijnych typ dowcipu wydawał mi się uderzająco podobny, co tłumaczyłem sobie wspólną przynależnością miniseriale i tamtych filmów do tak zwanego humoru angielskiego. Jakież było moje zdziwienie, gdy wyczytałem, że do ekranizacji *Dobrego omenu* kilkakrotnie przymierzał się... Terry Gilliam. Cytuję za FilmWeb-em: *Najbliżej powstania filmu było w 2002 roku, gdy w głównych rolach obsadzeni zostali Johnny Depp (Crowley) i Robin Williams (Azirafal). Ostatecznie projekt nie został zrealizowany.* Jak widać, moje skojarzenia były nie tylko moimi. I – mimo że bardzo lubię filmy Gilliana – myślę, że dobrze się stało, iż powieść została zekranizowana w obecnej wersji, pod okiem jednego z autorów. To na pewno wyszło adaptacji na dobre.

Z pewnym zdziwieniem skonstatowałem jedynie, że Góra i Dół także zaraziły się ideą politycznej poprawności i idącymi za nią parrytetami. To, że Bóg jest kobietą, wiadomo już od pewnego czasu (o Kopernik już nie wspominając), nie spodziewałem się jednak, że są nimi także archaniołowie Michał i Uriel, tudzież taki na przykład Belzebub (wbrew precyzyjnym ustaleniom Anety Jadowskiej). Także wśród Jeźdźców (a raczej Motocyklistów)

Apokalipsy parytet został zachowany – otóż nie tylko Wojna, ale i Skażenie są rodzaju żeńskiego, a Głód jest Afromotocyklistą, jeśli mogę go tak prowizorycznie określić. Natomiast (o zgrozo) wszystkie *dramatis personae* są hetero, choć mogę się mylić, bo w sieci jest mnóstwo sugestii (w tym ilustrowanych) na temat pary głównych bohaterów.

Mimo tych smaczków / Dzięki tym smaczkom (niepotrzebne skreślić) serial ogląda się bardzo dobrze. Aktorzy idealnie pasują do swoich ról, akcja jest wartka i prześmieszna. Jeśli dodać do tego dobrą muzykę (a w szczególności muzykę zespołu *Queen*, w którą przekształca się każde nagranie w samochodzie Crowleya) i świetną animowaną czołówkę, otrzymujemy coś niebezpiecznie zbliżonego do ideału. Polskiemu wydaniu DVD też niczego nie brakuje – dwie płyty mieszczą nie tylko

miniserial, ale także 13 krótkich dodatków z polskimi napisami, co bynajmniej (niestety) nie jest normą. Nie ma więc chyba żadnych wątpliwości, że polecam ten zestaw bardzo gorąco,

No to na koniec wróćmy na chwilę do książki. Zdaniem Azirafala – który znał osobiście autora *Apokalipsy* – *Jan był uroczym facetem, tylko za bardzo lubił grzyby*. Tak między nami mówiąc byłoby świetnie, gdyby rzeczywiście miał rację, a historia przedstawiona w *Dobrym omenie* była od samego początku zamysłem Najwyższego.

Neil Gaiman, Terry Pratchett, *Dobry omen*, 1997 (*Good Omens*, 1990)

Dobry omen (Good Omens), miniserial USA,

Wielka Brytania, 2019

ocena FilmWeb: 7,8, IMDb: 8,1

twórca serialu, scenariusz: Neil Gaiman

reżyseria: Douglas MacKinnon

gatunek: fantasy, komedia

6 odcinków, łączny czas: 5 godz. 28 min.

Na plakacie: w centrum Azirafal (Michael Sheen) i Crowley (David Tennant)

poniżej Jeźdźcy Apokalipsy: Głód (Yusuf Gatewood), Wojna (Mireille Enos), Śmierć (Jamie Hill) i Skażenie (Lourdes Faberes)

po lewej u góry aniołowie: Gabriel (Jon Hamm), Sandalfon (Paul Chahidi) i Uriel (Gloria Obiano)

poniżej: pani Tracy (Miranda Richardson)

i sierżant Shadwell (Michael McKean)

pod nimi księżęta piekiel: Hastur (Ned Dennehy) i Ligur (Ariyon Bakare)

po prawej u góry: antychryst Adam Young (Sam Taylor Buck) i kumple: Wensleydale (Alfie Taylor), Pepper (Amma Ris), Brian (Ilan Galkoff)

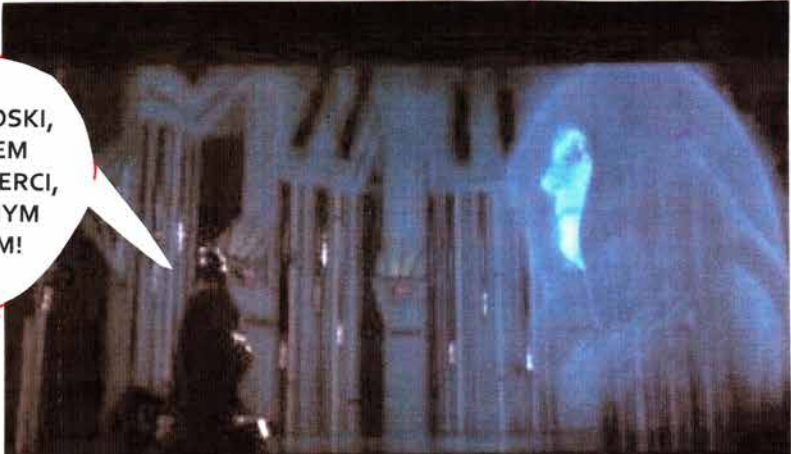
poniżej: Anathema Device (Adria Arjona)

i Newton Pulsifer (Jack Whitehall)

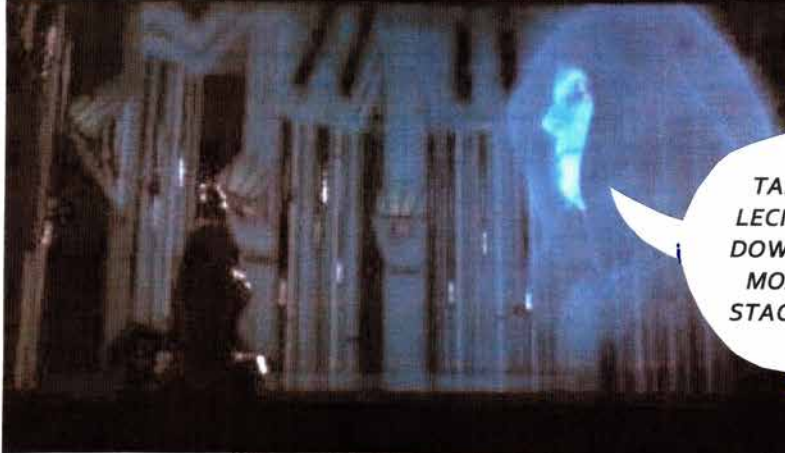
pod nimi: płonący Bentley Crowleya



SĄ JESZCZE W GALAKTYCE SĘDZIOWIE!



PANIE! POGŁOSKI,
ŻE STRACIŁEM
GWIAZDĘ ŚMIERCI,
SĄ WIERUTNYM
ŁGARSTWEM!



TAK? TO CZEMU
LECISZ TU STATKIEM
DOWODZENIA, A NIE
MOJĄ ULUBIONĄ
STACJĄ KOSMICZNĄ?



POWTARZAM, ŻE TO
ZŁOŚLIWE FAKE NEWSY!
A OSZCZERCÓW POZWĘ
DO IMPERIALNEGO SĄDU!



**Ekskluzywny
i limitowany
pakiet nowego
wydania kultowych
KRONIK DIUNY**



**Dziesiąty tom cyklu
SCHRONIENIE**



**Nagradzany zbiór opowiadań autora
bestsellerowego *Problemu trzech ciał***



znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



FB/REBIS